

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

Na szczęście nie każdy rok musi być przełomowy. Po finansowo-politycznym trzęsieniu ziemi w 2008 r. nastął czas względnego spokoju, a nawet nijakości w polityce światowej. Poszczególne kraje i regiony na swój sposób zmagają się z następstwami kryzysu. Konsekwencje turbulencji z 2008 r. nie zdołały się jeszcze wyraziście zaznaczyć. Nie brak wprawdzie prognoz w tym względzie, ale na ich potwierdzenie musimy jeszcze trochę poczekać. Świat przygląda się poczynaniom prezydenta Baracka Obamy, który nie zachwyca skutecznością, ale też są tego głębokie przyczyny. Chiny prezentują znaną już wcześniej „siłę spokoju”, niepozbawioną już wszakże oznak pewności swego. UE odzyskała w końcu Traktat Lizboński, ale brak jedności i wiary w swoją moc czyni ją niezbyt wyrazistym elementem globalnej geopolitycznej szachownicy. Rosja pozostaje w szponach swych atawizmów. *Global governance* nie może pochwalić się sukcesami – ani w sprawach gospodarczych, ani w sprawie walki ze zmianą klimatu. W tym czasie zbawiennej ulgi i nudy po G.W. Bushu nie wszystkim się podoba ów stan nijakości i poczucie braku sterowności w skali globalnej. Brak wielkich napięć czy dramatycznych zderzeń, z wyjątkiem niekończącej się wojny w Afganistanie, powinien być raczej powodem do zadowolenia. Kontury nowego porządku wyłonią się bez popędzania, w swoim rytmie. Trzeba umieć cieszyć się z tego, że tuż na horyzoncie nie rysuje się kolejna konfrontacja. I bez niej żyjemy „w ciekawych czasach”.

KRAJOBRAZ PO KRYZYSIE

W 2009 roku stało się oczywiste, że kryzys finansowy i gospodarczy z przełomu 2008/2009 – przypomnijmy, że chodzi o największe załamanie finansowe od czasu Wielkiego Kryzysu z lat 30. XX wieku – **wprowadził świat w kolejny okres przejściowy**. Pierwszym okresem przejściowym po zimnej wojnie były lata 90., charakteryzujące się przywództwem USA, po którym – jak sądzono – pojawi się „jakiś” nowy porządek międzynarodowy. Epoka lat 90. nie miała własnej nazwy – zwano ją okresem pozimnowojennym. Pierwsza dekada XXI wieku stała pod znakiem próby ustanowienia hegemonii USA w świecie. Administracji G.W. Busha nie wystarczało przywództwo. Starano się zapewnić Ameryce pozycję hegemoniczną, która miała trwać dłuższy czas. Instrumentem ustanawiania hegemonii USA była siła militarna. Ta próba się nie powiodła z dwóch powodów. Po pierwsze, świat jej nie zaakcepto-

wał i był wystarczająco silny, aby się jej oprzeć. Po drugie, Stany Zjednoczone nie wytrzymały tej próby pod względem gospodarczym. Być może zresztą mogłyby wytrzymać przez jakiś czas koszty hegemonii, gdyby nie lekkomyślna i całkowicie nieodpowiedzialna polityka finansowa USA oraz zachowanie jej żądnych irracjonalnych zysków kręgów finansowych. Krach finansowy zapoczątkowany upadkiem banku Lehmann Brothers 15 września 2008 r. pociągnął za sobą kryzys gospodarczy i społeczny w samej Ameryce i na całym Zachodzie. Doszło w ten sposób nie tylko do poważnego osłabienia mocy finansowo-gospodarczej USA i Zachodu, ale przede wszystkim do upadku założenia o nieodpartym uniwersalizmie zachodniego modelu rozwojowego. Stało się tak również dlatego, że globalne tąpnięcie finansowe i gospodarcze bardzo dobrze zniosły Chiny, które wysunęły się na pozycję głównego partnera i zarazem rywala Ameryki na scenie globalnej. Aczkolwiek pod względem potencjału gospodarczego nadal znacznie ustępowały USA i UE, dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że to jedynie one mogą przejąć od USA w perspektywie 30–40 lat rolę głównego mocarstwa na świecie. Pozycja Chin już teraz była większa niż ich potencjał, Pekin bowiem potrafił wcielić się w rolę lidera grupy dużych i szybko rozwijających się państw niezachodnich, które tworzyły swoisty front kontestujący prymat Zachodu w świecie.

Okres przejściowy, który rozpoczął się po fiasku organizacji porządku międzynarodowego z punktu widzenia hegemonii Stanów Zjednoczonych, charakteryzuje się **brakiem wyrazistych konturów geopolitycznych**. Nie ma dzisiaj w świecie mocarstwa przywódczego ani też nie widać koncertu mocarstw – grupy dużych państw blisko ze sobą współpracujących, zainteresowanych utrzymaniem określonego *status quo*. Nie ma także mocarnej instytucji wielostronnej, która byłaby w stanie zachować globalną stabilność i bezpieczeństwo w razie pojawienia się jakiegoś poważnego zagrożenia. ONZ osłabiona okresem „burzy i naporu” administracji G.W. Busha takiej roli nie odgrywa. Bezpieczeństwo i stabilność utrzymują się raczej dzięki kombinacji sieci współzależności, interesów państw oraz wielu normom i instytucjom rozsianym po całym świecie, które ułatwiają współpracę państw oraz pełnią funkcje regulacyjne wobec głównych problemów międzynarodowych. Zwolennicy wyrazistości formuły konstytuującej porządek międzynarodowy mogą na tę sytuację przejściowości nawet utyskiwać, ale nie można nie zauważyć, że brak nadrzędnego regulatora („szeryfa”, „koncertu”, „wysokiej rady”) bynajmniej nie wpływa anarchizująco na życie międzynarodowe, które toczy się względnie stabilnie i spokojnie. Niewątpliwym mankamentem tej sytuacji, którą prof. Aleksander Smolar nazywa „negatywną multipolarnością”, jest natomiast trudność w uzgadnianiu decyzji dotyczących najważniejszych problemów międzynarodowych¹.

Dla większości obserwatorów nie ulegało wątpliwości, że w kategoriach geopolitycznych okres przejściowy prowadzi do prymatu Azji w życiu międzynarodowym. Niektórzy prorokowali wręcz, że po wieku Wielkiej Brytanii (XIX wiek), a na-

¹ „Tyle że owa multipolarność manifestuje się dziś w sposób negatywny: nie w zdolności znalezienia szerokiego porozumienia dla osiągnięcia wspólnych celów, lecz w możliwości blokowania, wetowania działań podejmowanych przez innych” – A. Smolar, *Kolejny rok klęsk i rozczarowań*, „Dziennik – Gazeta Prawna” („DGP”) z 4 stycznia 2010 r.

stępnie Stanów Zjednoczonych (XX wiek), **wiek XXI będzie wiekiem Azji**. Prof. Kishore Mahbubani z Singapuru, wieszczący nieuchronne przesunięcie się globalnego punktu ciężkości „na Wschód”, twierdzi, że Fukuyama mylił się, pisząc o końcu historii. W istocie zmiana polega na końcu dominacji Zachodu i powrocie Azji, co stało się za pośrednictwem i przy pomocy Zachodu. Sukces wschodniej Azji polega jego zdaniem na tym, że udało się jej przejąć od Zachodu siedem filarów zachodniej mądrości: gospodarkę wolnorynkową, naukę i technologię, merytokrację, pragmatyzm, kulturę pokoju, praworządność i edukację. Nie został natomiast przejęty zachodni liberalizm. W ocenie Mahbubaniego tylko pycha Zachodu nie pozwalała mu dostrzec nadchodzącego kresu jego dominacji w historii świata. Jeśli „wejście Azji”, to określenie to odnosi się przede wszystkim do Chin, do których Zachód podchodzi z nadzieją i obawą. Prof. David Shambaugh z Uniwersytetu George’a Washingtona reprezentuje tę drugą postawę i mówi: „Pojawienie się Chin na globalnej scenie następuje z bezprecedensową siłą i wpływem i nic nie wskazuje na to, aby stały się one takim globalnym partnerem, jakiego szukają Ameryka i Unia Europejska”. Chiny powinny wyprzedzić w 2010 r. Japonię jako drugą pod względem wielkości gospodarkę świata, a zgodnie z najnowszym raportem PriceWaterhouseCoopers mogą prześcignąć Stany Zjednoczone w tej roli już w 2020 r. Zdaniem prof. Shambaugh Zachód nie będzie poczuwał się wobec świata do takiej odpowiedzialności, jaką wcześniej wykazywały mocarstwa zachodnie².

Pomostem przejścia Chin do roli numer jeden na świecie są ich stosunki z USA. Nie przypominają one jednak modelu stosunków Wielka Brytania–Stany Zjednoczone z pierwszej połowy XX wieku, które służyły za pas transmisyjny przekazujący w obrębie „anglosaskiej rodziny” pałeczkę przywództwa z Londynu do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Wprawdzie występując na amerykańsko-chińskim szczycie gospodarczym w Waszyngtonie w końcu lipca 2009 r., prezydent Obama nazwał je najważniejszymi stosunkami dwustronnymi świata, w czym nie ma niczego zaskakującego, lecz Chiny i przyszłość relacji Waszyngton–Pekin są wielką niewiadomą. W sensie finansowym oba kraje znajdują się w sytuacji „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Jak obrazowo napisano w specjalnym raporcie „The Economist”, poświęconym „dziwnemu małżeństwu” (USA i Chin), **stosunki finansowe pomiędzy oboma krajami są tym samym co sytuacja wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia (MAD)** w sferze nuklearnej pomiędzy USA a Związkiem Sowieckim w czasach zimnej wojny. Amerykańskie obligacje i inne papiery wartościowe w rękach chińskich inwestorów są potężnym czynnikiem gwarancji stabilności dolara i gospodarki USA i zmuszają Waszyngton do „grzecznego” stosunku wobec Chin. Gdyby jednak runął amerykański system finansowy, prowadziłoby to do utraty wartości gigantycznych chińskich rezerw walutowych zgromadzonych w dolarze. Wagę tej relacji, która teoretycznie mogłaby okazać się kołem zamachowym światowego wzrostu, zaczęto podkreślać przez ukucie terminu „G-2”; grupa taka miałaby być nowym dyktandem dwóch mocarstw. Tak jednak nie jest. Podchodząc z respektem do chińskiego wzrostu gospodarczego oraz polityczno-

² K. Mahbubani, *End of whose history?*, „International Herald Tribune” („IHT”) z 11 listopada 2009 r.; K. Bennhold, *As China rises, economic conflict with West rises too*, „IHT” z 26 stycznia 2010 r.

-strategicznych możliwości, które się z tym wiążą, należy pamiętać, że Chiny paradoksalnie pozostają ubogim krewnym Ameryki. Pod względem dochodu *per capita*, ok. 3 tys. USD, plasują się na 104 miejscu na świecie. Same nadal określają się jako kraj rozwijający. Brakuje im niektórych innych ważnych instrumentów mocarstwowości (potencjału militarnego, zaawansowanego sektora technologicznego, wpływu w instytucjach międzynarodowych) i to się tak prędko nie zmieni. Jak pisze Niall Ferguson, **związek „Chimeryka” był jednostronnie korzystny dla Chin** i mógł powstać na skutek braku rozumu administracji Busha. Dał Chinom szansę fantastycznego rozwoju i eksportu oraz zgromadzenia wielkiego kapitału, lecz po stronie USA oznaczał nadmierną konsumpcję, zanik oszczędności, niską stopę procentową, szaleństwo inwestowania w toksyczne instrumenty finansowe i, ostatecznie, zapaść finansową końca 2008 r. Chiny były beneficjentem porządku ekonomicznego utrzymywanego przez USA (wolny handel, niskie ceny ropy), teraz będą musiały przejąć część ciężarów, m.in. poprzez aprecjację swej waluty. Jednocześnie, uważa Ferguson, Ameryka, wychodząc z kryzysu, będzie uwalniać się od tej chorej relacji z Chinami. „Chimeryka” (jak chimera, będąca monstrualną hybrydą) jest skazana na śmierć³.

W sensie geopolitycznym relacje USA–Chiny przypominają raczej **wzajemne oddziaływanie na siebie dwóch płyt tektonicznych**, których styk jest względnie gładki, lecz pomiędzy którymi dochodzi czasem do przesunięć powodujących trzęsienia ziemi i fale tsunami. Oba człony tych relacji są zbudowane z zasadniczo innego cywilizacyjnego materiału, a zatem Chiny i Ameryka nie tworzą jednej „anglosaskiej rodziny” i stosunki pomiędzy nimi pozostaną nacechowane nieufnością, podejrzliwością, rywalizacją, a w samym Waszyngtonie konkurują ze sobą dwa podejścia: powstrzymywania Chin oraz wciągania ich do współrzędzenia światem. Oba nie są dostosowane do sytuacji (Chin nie da się powstrzymać ani też nie chcą one współrzędzić z Ameryką), ale USA nie dysponują niczym innym. Nie są w stanie przeszkodzić awansowi Chin i mogą starać się tylko o zminimalizowanie strat związanych z procesem ich przesuwania się na czoło. Potrwa to jeszcze kilka dekad, ale wydaje się nieuniknione. Chińskie wydatki na zbrojenia (choć nadal niewielkie w stosunku do amerykańskich) oraz nakłady na infrastrukturę i technologie, o czym świadczy ich program kosmiczny, w tym plan lotu na Księżyc, jedynie potwierdzają tę obserwację.

Hasło: „Uwaga, nadchodzi Azja” jest tylko częściowo trafne. Nie sposób zakwestionować rozwoju gospodarczego Azji Wschodniej. Ostatnia dekada okazała się dla państw tego regionu niezwykle pomyślna pod względem gospodarczym i ogólnego rozwoju. Jest to zjawisko spektakularne w odniesieniu do dużych państw, takich jak Chiny czy Indonezja, choć obejmuje też średnie kraje w rodzaju Tajlandii, Malezji czy Wietnamu. Podobnie było w przypadku Indii reprezentujących Azję Południową. W grupie ważnych krajów, które wykorzystały szanse globalizacji w tej dekadzie, znalazła się również Brazylia. Wszystkie one w stosunkowo ma-

³ N. Roubini, *The Almighty Renminbi*, „IHT” z 14 maja 2009 r.; N. Ferguson, *The great wallop*, „IHT” z 16 listopada 2009 r.; J. Bielecki, *Chiny i USA podzielił świat*, „Dziennik” z 29 lipca 2009 r.; *A wary respect. A special report on China and America*, „The Economist” z 24 października 2009 r.

łym stopniu zostały dotknięte kryzysem 2008 r.⁴ Wracając do Azji, należy pamiętać, że choć jest ona w dużej części regionem imponującego wzrostu gospodarczego, tam również znajdują się źródła napięć i konfliktów, a ogólna sytuacja geopolityczna łatwo może się przerodzić w kryzys o niewyobrażalnych konsekwencjach. Powściągliwość i odpowiedzialność azjatyckich mocarstw z jednej strony jest godna uznania, ale z drugiej strony widać ich niezdolność do skutecznego włączania się w regulację problemów czy sporów stanowiących zagrożenie bezpieczeństwa regionalnego, nawet jeśli w jakiejś mierze ich przyczyny pochodzą z zewnątrz, głównie ze strony USA. Chodzi tu przede wszystkim o wojnę w Afganistanie oraz kryzysy wokół programów nuklearnych Iranu i Korei Północnej. W regulację wszystkich tych trzech spraw zaangażowany jest Zachód, choć można byłoby sądzić, że to państwom azjatyckim powinno zależeć na ich rozwiązaniu, ponieważ to w pierwszym rzędzie ich dotkną konsekwencje ewentualnego „rozlania się” tych problemów. Świadczy to o ich słabości i niechęci brania odpowiedzialności za regionalną stabilność i bezpieczeństwo (a może są one zainteresowane przedłużającym się uwikłaniem USA i Zachodu w te sytuacje).

Zagrożenia proliferacją broni nuklearnej skoncentrowane były przede wszystkim w Azji. Żadne zabiegi ze strony USA, Rosji i państw azjatyckich, takich jak Chiny czy Japonia, nie mogły zapobiec kolejnej, tym razem udanej **próbie jądrowej przeprowadzonej przez reżim Kim Dzong-ila w maju 2009 r.** Dotyczyło to również już mniej udanych testów z raketami krótkiego i średniego zasięgu. Władze w Phenianie kontynuują te praktyki i towarzyszącą im wojenną retorykę z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na konieczność legitymizacji racji swego istnienia zagrożeniem zewnętrznym. Ta broń miałaby uniemożliwić rzekomą próbę zewnętrznej interwencji zbrojnej. Po drugie, uprawiając ten swoisty Halloween (straszenie dla wymuszenia słodyczy), reżim północnokoreański chce uzyskać jakąś pomoc międzynarodową, by złagodzić los ludności tego kraju, zagrożonej m.in. głodem i zimą, których przyczyną jest sam paranoiczny system i sposób sprawowania władzy. Klucz do rozwiązania problemu znajduje się w Pekinie, ale Chińczycy z różnych względów nie kwapią się do wywarcia presji na swym sojuszniku, aby ten poniechał kontynuacji niebezpiecznego programu zbrojeń. Rozmowy sześciopartyjne po raz kolejny utknęły w martwym punkcie⁵.

Irański program nuklearny oraz rozwój technologii raketowej, niezależnie od historycznego niekiedy tonu mediów czy powagi słów wypowiedzianych przez zachodnich polityków, nie stanowi takiego zagrożenia jak poczynania tylko częściowo po czytalnego Kim Dzong-ila. Jest tak po pierwsze dlatego, że Iran ma do przebycia długą drogę, zanim osiągnie zdolność do wyprodukowania ładunku nuklearnego. Kolejne odkrycia MAEA czy amerykańskiego wywiadu pokazują, że wprawdzie Teheran w sprawie swego programu mataczy, lecz jednocześnie jego zdolności w tej

⁴ Chiny, Indie, Indonezja i Brazylia – cztery kraje o stałej wysokiej stopie wzrostu – w ostatniej dekadzie reprezentują 40% światowej populacji (T. Cowen, *Fruitful decade for many in the world*, „IHT” z 2 stycznia 2010 r.).

⁵ B. Zadura, *Kim w klubie atomowym*, „Dziennik” z 26 maja 2009 r.; T. Bielecki, *Korea znów odpala rakietę*, „GW” z 27 maja 2009 r.; B.R. Myers, *North Korea will never disarm*, „IHT” z 28 maja 2009 r.

dziedzinie nie są nadmiernie zaawansowane. Nieco bardziej zaawansowany jest natomiast irański program raketowy. Opanowanie technologii nuklearnej i ewentualne wyprodukowanie bomby ma dać Iranowi pozycję regionalnego mocarstwa, rakiety zaś (Szahab-3 mają zasięg do 2100 km) – odstraszyć Izrael i USA od ewentualnej operacji militarnej, której celem byłoby zniszczenie irańskich instalacji służących realizacji programu jądrowego. Nawet amerykańscy komentatorzy (np. Roger Cohen) uważają, że **ambicje nuklearne Teheranu biorą się z kompleksu i strachu wobec Ameryki**, z przeświadczenia, że tylko broń nuklearna może zapewnić Iranowi obronę w obliczu nieprzyjaznych, otwarcie deklarowanych intencji USA. Kluczem do rozwiązania tego problemu mogłaby być inicjatywa USA pozwalająca na całościowe uregulowanie (normalizację) stosunków z Iranem bez warunków wstępnych. Niestety, administracja Obamy kontynuuje twarde, ortodoksyjny kurs wobec Teheranu, który nie może przynieść dobrych rezultatów. Rozmowy genewskie (październik 2009 r.) nie przyniosły przełomu, choć sukcesem było to, że do nich w ogóle doszło⁶. Później jednak Teheran w swoim stylu kontynuował kluczenie w sprawie porozumienia dotyczącego przekazywania nisko wzbogaconego uranu za granicę w celu dalszej jego przeróbki na wysoko wzbogacone paliwo nuklearne. Iran nie ugnie się pod presją kolejnych sankcji Rady Bezpieczeństwa. Prezydent Obama publicznie odrzucił „rozwiązanie siłowe”. Impas w sprawie programu nuklearnego będzie się przedłużał. Sytuację Iranu pogarsza jednak otwarte załamanie legitymizacji władzy prezydenta Ahmadineżada i jego ekipy, gdy po czerwcowych wyborach prezydenckich (zdaniem wielu sfałszowanych) władza surowo rozprawiła się z opozycją i doszło do poważnego regresu, jeśli chodzi o zakres swobód wewnętrznych. Prześladowania opozycji i usztywnienie linii ideologicznej, oskarżenia wobec Zachodu o ingerencję wewnętrzną wzięły się z poczucia słabości, która nie usposabia do kompromisu. Zdaniem niektórych może to być początek schyłkowej fazy takiego Iranu, który się wyłonił z rewolucji ajatollahów i upadku reżimu szacha Rezy Pahlawiego⁷.

Rządy niemal wszystkich państw na świecie najbardziej były zaabsorbowane wysiłkami na rzecz wyjścia z kryzysu finansowego lub zminimalizowania jego skutków wtedy, gdy ich kraje nie były źródłem, lecz ofiarą zewnętrznych praktyk finansowych. Dość powszechnie sądzono, że o ile kryzys finansowy został opanowany (groźba dalszego załamania na rynkach finansowych została odsunięta), o tyle świat, a zwłaszcza kraje wyżej rozwinięte, znajduje się w fazie kryzysu gospodarczego, po którym nastąpi kryzys społeczny, głównie w postaci szybko rosnącego bezrobocia. Będzie to mieć konsekwencje polityczne – manifestacje, niestabilność, zmiany rządów etc. Wobec 40-procentowego spadku handlu światowego dialog dwu- i wielostronny dotyczył w głównej mierze tego, jak doprowadzić do ożywienia globalnego

⁶ Rozmowy genewskie toczyły się z udziałem przedstawicieli stałych członków RB NZ, UE, która była ich gospodarzem, oraz Niemiec. W tym czasie irański minister spraw zagranicznych prywatnie odwiedził Waszyngton, po raz pierwszy od końca lat 90. Wszystko to skłaniało obserwatorów do przekonania o możliwości przełomu, do czego jednak, mimo początkowo konstruktywnego tonu rozmów, nie doszło.

⁷ R. Cohen, *The U.S.-Iran triangle*, „IHT” z 28 września 2009 r.; F. Frattini, *Rethinking Iran*, „IHT” z 9 czerwca 2009 r.; M. Janik, *To wszystko wina Zachodu*, „Dziennik” z 23 czerwca 2009 r.

popytu i nie dopuścić do nawrotu protekcjonizmu. Nieunikniony spadek konsumpcji wewnętrznej w USA i konieczność oszczędzania przez ich mieszkańców oznaczały, że to nie one staną się lokomotywą światowego wzrostu. Główne oczekiwania kierowano w stronę Chin, które obciążano także częścią odpowiedzialności za to, co się stało. Finansowanie własnymi nadwyżkami konsumpcyjnej orgii w Ameryce przyczyniło się, jak wiadomo, do zdestabilizowania jej systemu finansowego, a następnie kryzysu gospodarczego. Chiny tylko w ograniczonym stopniu były gotowe uwolnić swoje rezerwy na potrzeby stymulowania popytu wewnętrznego, a ze względów strukturalnych nie zamierzały dokonywać adekwatnej aprecjacji juana. W obliczu tych globalnych turbulencji finansowo-gospodarczych światowe instytucje finansowo-handlowe (MFW, Bank Światowy, WTO) wykazały bardzo ograniczoną użyteczność. Nie tylko nie potrafiły ostrzec przed nadciągającą katastrofą ani jej zapobiec, ale gdy do niej już doszło, nie były w stanie skutecznie pomóc potrzebującym. Co gorsza, ich konserwatyzm, wyrażający się np. w niedopuszczaniu w większym stopniu do podejmowania decyzji nowych potęg gospodarczych (Chin, Indii czy Brazylii), ograniczał ich zdolności do kontrolowania czy regulowania globalnego rynku (kapitału czy handlu). Poważni eksperci, np. Martin Wolf, mówili o narastającym prawdopodobieństwie odwrotu od globalizacji i szukania rozwiązań o charakterze protekcjonistycznym (narodowe strategie wychodzenia z kryzysu na własną rękę) lub porozumieniach dwustronnych czy subregionalnych, co nie będzie pomagać w odzyskiwaniu równowagi na szczeblu globalnym⁸. W kontekście tego kryzysu do łask powróciło państwo. Jak mówił George Soros, „**Za załamanie rynku kredytowego i kryzys wiarygodności musiała odpowiedzieć jedyna instytucja, która jeszcze miała wiarygodność, czyli państwo.** I państwa, żeby ratować gospodarkę, musiały drukować pieniądze”⁹. Soros wieszczył, że wkroczenie państwa do gospodarki zniszczy dotychczasowe instytucje międzynarodowe. Zarazem niektóre państwa, zwłaszcza USA, nie pozwolą na utworzenie globalnych instytucji kontroli, które mogłyby zapewnić swobodne krążenie pieniędzy i towarów po świecie, bez ryzyka wywołania takich załamań, jak stało się to w 2008 r. Za pozytywną lekcję ostatniego kryzysu Soros uważa „upadek wiary szerzonej przez fundamentalistów rynkowych, że rynki same z siebie dążą do równowagi, zwłaszcza rynki finansowe. Choć powszechne, jest to przekonanie fałszywe, korzystne przede wszystkim dla kapitalistów”. W powrót do protekcjonizmu nie wierzy prof. Dani Rodrik z Uniwersytetu Harvarda. „Protekcjonizm okazał się w trakcie kryzysu jak strzelba, z której nikt nie odważył się wystrzelić”. Reguły międzynarodowego systemu handlowego zdały egzamin w czasie kryzysu. Jego zdaniem stało się tak ze względu na trzy czynniki: idee, politykę oraz instytucje¹⁰. W sprawie globalizacji za-

⁸ Nie tylko Ameryka jest odpowiedzialna za gospodarczą zapaść, rozmowa z Martinem Wolfem (rozmowę prowadził Paweł Marczewski), „Dziennik” (dodatek „Europa”) z 6–7 czerwca 2009 r.; A. Beattie, *Światowy gigant się dusi*, „DGP” z 3 grudnia 2009 r.

⁹ Soros dodawał: „W Ameryce kwota dodrukowanych pieniędzy wzrosła od września 2008 z 800 mld dolarów do ponad trzech bilionów, nie licząc ponad ośmiu bilionów gwarancji kredytowych” (*Łagodnie szukamy dna*, wywiad z G. Sorosem (rozmawiał J. Żakowski), „Polityka” z 27 czerwca 2009 r.).

¹⁰ Idee – przeświadczenie o wyższości wolnego rynku, polityka – współzależność interesów państw, instytucje – rozbudowane w wielu krajach mechanizmy osłony socjalnej w czasach kryzysu (D. Rodrik,

brał głos także Benedykt XVI, który w swej encyklice *Caritas in veritate* apelował o wprowadzenie do gospodarki zasady solidarności i przywrócenie wzajemnego zaufania w działalności rynku. W przeciwnym przypadku gospodarka nie będzie pełnić swych społecznych funkcji¹¹.

Niezależnie od tego, jak bardzo były słuszne lub nie opinie o niewydolności instytucji tworzących *global governance* w sferze finansowo-handlowej, jedyną innowacją instytucjonalną, która zdążyła się przyjąć w pierwszych miesiącach kryzysu, było pojawienie się **Grupy-20, która miała zastąpić G-7/8**. Ta druga już od dłuższego czasu stawała się dekoracją z minionej epoki. Gwoździem do jej trumny stał się nieudolnie zorganizowany przez premiera Berlusconiego szczyt G-8 w L'Aquila (miejscowości dotkniętej kilka miesięcy wcześniej trzęsieniem ziemi) w lipcu 2009 r. Nieudolność i specyficzne dla Berlusconiego zachowania jako gospodarza nie zdołały przesłonić nadto oczywistego faktu, że w tym składzie nie da się już odpowiedzialnie uzgadniać rozwiązań palących problemów międzynarodowych. Jedynym osiągnięciem tego spotkania było podjęcie pewnych, choć niezbyt wiążących zobowiązań dotyczących bezpieczeństwa żywnościowego (planu pomocy dla najbardziej dotkniętych tym problemem). „Ósemka” okazała się niezdolna do przyjęcia jakichkolwiek uzgodnień dotyczących ochrony klimatu. Wrześniowe spotkanie G-20 w Pittsburghu okazało się znacznie bardziej produktywne. Uzgodnione zostały ambitne zobowiązania mające sprzyjać ożywieniu gospodarki światowej i unikaniu kryzysów podobnych do tego, jaki wybuchł w 2008 r. Chodzi m.in. o koordynację polityk w sposób zmniejszający ogromną nierównowagę pomiędzy gospodarkami zorientowanymi na eksport a krajami zadłużonymi z powodu nadmiernej konsumpcji w przeszłości (np. Chiny vs. USA), wzajemne przeglądy polityk finansowych i handlowych na forum MFW, zwiększenie rezerw bankowych (w stosunku do pieniędzy będących w obrocie), aby unikać niewypłacalności państw i zaburzeń na rynkach finansowych, zobowiązanie do przydzielenia większej siły głosu Chinom i innym krajom azjatyckim w MFW i Banku Światowym¹².

Trzecim problemem międzynarodowym, poza kontrolą zbrojeń nuklearnych i nieproliferacją oraz konsekwencją załamania finansowego¹³, który wzbudzał wielkie polityczne kontrowersje i zainteresowanie mediów, była sprawa **walki z ocieplaniem się klimatu**. Wokół tych zagadnień jednoczyła się społeczność międzynarodowa, przynajmniej w sensie wspólnego przekonania, że to jest realny problem, który dotyczy wszystkich, a co za tym idzie, konieczne jest współdziałanie międzynarodowe, by stawić czoła zagrożeniu zmianą klimatu. W tym miejscu owa jedność się kończyła, a zaczynały spory o to, jakie rozwiązania powinny być przyjęte. Bardziej konkretnie chodziło o podział kosztów, rozłożenie w czasie, etapowe wskaźniki do osiągnięcia przez poszczególne grupy państw. Spory pomiędzy ekspertami dotyczyły samej istoty problemu, oceny jego przyczyn, konsekwencji i możliwości zaradze-

Protekcjonizm narasta? To tylko mit, „Dziennik” z 27 października 2009 r.).

¹¹ Benedykt XVI, *Grzechy globalizacji*, „GW” z 11–12 lipca 2009 r.

¹² E.L. Andrews, *Group of 20 agrees on far-reaching economic plan*, „IHT” z 26 września 2009 r.

¹³ O trzech bombach, które musi rozbroić Ameryka (zadłużenie wewnętrzne, zagrożenie nuklearne i bomba klimatyczna), pisał T. Friedman, *Our three bombs*, „IHT” z 7 października 2009 r.

nia. Jak pisał prof. Anthony Giddens, w debacie na temat zmiany klimatu dominują trzy stanowiska. Pierwsze jest reprezentowane przez ONZ-owski Zespół ds. Zmiany Klimatu (Nagroda Nobla wspólnie z Alem Gore'em w 2007 r.) i znaczną większość państw, zgodnie z nim zmiana klimatu dokonuje się za sprawą aktywności człowieka i jej następstwa będą katastrofalne. Niezbędne jest podjęcie działań, które złagodzą ostrość tych konsekwencji. Drugim stanowiskiem jest sceptycyzm. Według sceptyków zmiany klimatyczne zachodzą, ale są efektem długofalowych cykliów naturalnych i działalność człowieka nie ma na to wpływu. Nie należy więc podejmować żadnych działań. To stanowisko reprezentuje część ekspertów i polityków w różnych krajach (np. prezydent Václav Klaus). Trzecie stanowisko jest radykalne. Jego przedstawiciele (np. Panel ONZ) twierdzą, że zmiany powodowane przez człowieka będą znacznie głębsze, niż się uważa, i właściwie prawie nic nas już nie może uratować. Konieczne są natychmiastowe, głębokie zmiany w stylu życia i sposobie produkcji, na które jednak nikt się nie zgodzi. Zdaniem Giddensa imperatyw zmian, mających u źródła zagrożenie zmianą klimatu, stwarza szansę, którą należy podjąć w dobrej wierze, w sposób całościowy i systematyczny. Zmiany przeprowadzane w odpowiedzi na to zagrożenie przyniosą zaś gospodarczą, technologiczną i społeczną transformację, w sumie zapewniając lepszy poziom życia człowieka¹⁴.

Co więcej, coraz częściej mówiło się o konsekwencjach, jakie zmiana klimatu przyniesie dla bezpieczeństwa międzynarodowego i strategii bezpieczeństwa mocarstw. Analizy amerykańskich ekspertów z Uniwersytetu Obrony Narodowej w Waszyngtonie w tej dziedzinie były najbardziej zatrważające. Ich zdaniem wynikające ze zmiany klimatu gwałtowne zjawiska atmosferyczne, burze, susze, masowe migracje, pandemie, wymuszą konieczność interwencji militarnych. Kryzysy powodowane zmianami klimatycznymi będą prowadzić do upadku rządów, inspirować do aktywności terrorystycznej i rebelii destabilizujących kraje i regiony. W ich ocenie dotyczy to zwłaszcza Afryki subsaharyjskiej, Bliskiego Wschodu i Azji Południowo-Wschodniej. Militarne operacje reagowania kryzysowego i pomocy humanitarnej staną się powszechne, lecz będą brzemiennie w nieprzewidywalne skutki polityczne. Pomimo to w powszechnej opinii to właśnie Stany Zjednoczone i Chiny są głównie odpowiedzialne za fiasco szczytu w Kopenhadze, który zgromadził wysokich przedstawicieli 193 (!) państw. Długie, żmudne przygotowania do szczytu, liczne rozmowy dwu- i wielostronne na najwyższym szczeblu (UE, G-7/8, szczyt Chiny–USA itp.) w miesiącach poprzedzających konferencję kopenhaską przyniosły bardzo słaby rezultat. Polityczne uzgodnienia zawarte w rzeczywistości dość krótkim komunikacie końcowym mają nawet swój ciężar gatunkowy, ale sprawy pominięte, niewiążący (polityczny, nie prawny) status zobowiązań, brak zgody w kwestii mechanizmu weryfikacji wykonywania zobowiązań, brak cezur czasowych opatrzonych „twardymi” wskaźnikami do osiągnięcia spowodowały poczucie faska tej konferencji. Pogłębiał je partykularyzm postaw takich właśnie państw jak USA czy Chiny, które zupełnie ignorowały wcześniejsze ustalenia i kierunkowe zobowiązania uważane za punkt odniesienia dla wysiłków w tej dziedzinie (np. wartościowe

¹⁴ A. Giddens, *Polityka zmiany klimatu*, „DGP” z 9 listopada 2009 r.

i perspektywiczne zobowiązania UE). *Nota bene*, znakiem czasu była w tych rozmowach dezynwoltura, z jaką premier Chin Wen Jiabao traktował prezydenta Obamę. W znacznym stopniu „chodziło o pieniądze”, czyli o to, kto zapłaci najwięcej za realizację uzgodnionych zobowiązań. Kraje najbiedniejsze i często najbardziej narażone na skutki zmian klimatycznych zajęły postawę skrajnie roszczeniową, ponieważ zapewne liczyły, że na przyjętym programie będą mogły coś zarobić. Na stole rokowań w Kopenhadze nie było takich pieniędzy, które mogłyby pokryć koszty wszystkich zobowiązań. Przyjęte zobowiązania dotyczyły ograniczeń emisji dwutlenku węgla przez te państwa, które produkują go najwięcej, pomocy krajom słabiej rozwiniętym w budowie gospodarek wykorzystujących czystą energię, pomocy dla krajów najbiedniejszych łagodzącej społeczne skutki zmian klimatycznych. Eksperci uważają, że przyjęte zobowiązania są o dziesiątki miliardów ton emitowanego dwutlenku węgla za małe, aby zapobiec takim skutkom zmian klimatycznych jak powódzie będące następstwem nieoczekiwanych, gwałtownych deszczów, susze, zmiany w ekosystemach i polarnej pokrywie lodowej związane z globalnym ociepleniem. Na pocieszenie politycy mający świadomość słabości przyjętych zobowiązań obiecywali poważniej podejść do tematu na kolejnej konferencji z tego cyklu planowanej w Meksyku w 2010 r.¹⁵

USA – OD NADZIEI DO ROZCZAROWANIA

Ten podtytuł jest parafrazą hasła głoszonego przez Baracka Obamę i tekstów dotyczących jego polityki („od nadziei do śmiałości”). Pierwszy rok prezydentury potwierdził nadzieję, którą dla Ameryki i znacznej części świata stanowił jego wybór, ale też przyniósł wiele rozczarowań, które były wprost pochodną wielkich oczekiwań związanych z jego osobą. I trzeba od razu powiedzieć – oczekiwań, które nie mogły być spełnione, a przynajmniej w tempie, w jakim się tego po nim spodziewano. Pierwszym i nadrzędnym zadaniem, przed którym stanęła nowa administracja, było wyciągnięcie Stanów Zjednoczonych z manowców, na jakie zostały one wywiedzione przez administrację G.W. Busha (G. Soros), zasługującą na miano *rogue administration*, a przynajmniej spełniającą kryteria pojęcia, którymi posługiwała się w stosunku do innych państw. Były to zarówno manowce wewnętrzne, jak i międzynarodowe. Uporanie się z gigantycznymi problemami wewnętrznymi musiało mieć priorytet, a stanowiło przy tym warunek odzyskania wiarygodności USA na scenie międzynarodowej.

Cały świat mówił o problemach finansowych Ameryki, o skrajnej nieodpowiedzialności i pazerności kół finansowych, co w połączeniu z przyzwalającą tolerancją administracji Busha reprezentującej najbogatszą część społeczeństwa wpędziło ją w kryzys gospodarczy i inne problemy. Znacznie mniej osób pisało o **głębokim kryzysie moralnym, w jakim znalazła się Ameryka**, o silnej erozji zasad i wartości, które uczyniły ją potężną i wielką. Chodzi przy tym o kryzys demokracji, któ-

¹⁵ J.M. Broder, *Climate change seen as threat to U.S. security*, „IHT” z 9 sierpnia 2009 r.; K. Niklewicz, *Psuję klimat*, „GW” z 19–20 grudnia 2009 r.; A.C. Revkin, J.M. Broder, *A grudging accord in climate talks*, „IHT” z 21 grudnia 2009 r.

ra – taka jak w Ameryce – w żadnej mierze nie może być przykładem dla świata ani atutem jej *soft power*. Posłuchajmy wyjątkowo wnikliwego uczestnika i analityka życia publicznego Stanów Zjednoczonych G. Sorosa. Jego zdaniem dzięki kapitalizm, który triumfuje w Ameryce, stanowi zagrożenie dla demokracji, ponieważ wybór na każde stanowisko, senatora, gubernatora czy kongresmana, jest tak kosztowny, że kandydaci są potem zobowiązani wobec swoich sponsorów. „Ci, którzy nie chcą grać według tych reguł, nie mają szans na wybór, po prostu odpadają. Oto w jaki sposób pieniądze zanieczyszczają sferę publiczną”. Finansowe grupy interesów aktywnie manipulują opinią publiczną. „Skonstruowali oni świetnie działającą i znakomicie finansowaną maszynę propagandową”. Poprzez swoje polityczne wpływy blokowali wprowadzenie „mechanizmów regulujących system bankowy, zakazu przyznawania kredytów wysokiego ryzyka, co doprowadziło do największego od ośmiu dekad załamania rynków”. (...) „Cały elektorat został poddany takiemu praniu mózgowi, że już nie zdaje sobie sprawy, jakie reformy są w jego interesie”. (...) „W centrum problemu jest lobbing. Jego rozwiązanie nie jest sprawą ekonomii, tylko etyki”, ale „Ludzie o złych intencjach są w amerykańskiej sferze publicznej plagą”. (...) **„To, co nazywamy Orwellową propagandą, ma się w Ameryce na nasze nieszczęście bardzo dobrze”**. „System polityczny, który znakomicie służył Ameryce przez dwa stulecia, zdaje się rozpadać. Mieliśmy dotąd dwie partie, które walczyły o zagospodarowanie centrum. Ale to centrum się teraz znacznie skurczyło, a obie strony radykalizowały. Polityka się mocno spolaryzowała”. Zdaniem Sorosa Obama wiele robi, aby ten trend odwrócić, ale droga do naprawy jest jeszcze daleka¹⁶. Sorosowi wtóruje Zbigniew Brzeziński, który identyfikuje trzy systemowe słabości utrudniające prezydentowi prowadzenie racjonalnej, reprezentującej interesy USA polityki zagranicznej: nadmierne wpływy *lobbies* działających w tej sferze, głównie wspierających militarne interwencje USA (np. domagające się ataku na Iran), pogłębiająca się ideologiczna przepaść, która ogranicza szanse dwupartyjności (*bipartisanship*) w polityce zagranicznej, rosnący analfabetyzm Amerykanów w odniesieniu do znajomości świata, co ułatwia operowanie demagogią przy zdobywaniu poparcia dla radykalnych rozwiązań w stosunkach zewnętrznych USA¹⁷. Niektórzy uważali, że Ameryce potrzebne jest moralne odrodzenie (*moral revival*), ponieważ jest ona rozszarpywana przez różne grupy społeczne, etniczne, interesu, które ignorują interes ogólny kraju. Wzywano do reformy edukacji i zmiany powszechnego w Ameryce samopobłażania dla lenistwa, nieudolności, domagania się specjalnych uprawnień dla poszczególnych grup i grupki, respektowania ich szczególnych praw ze względów kulturowych, płciowych czy narodowościowych, żądania niskich podatków i sprawnego funkcjonowania służb publicznych, których jakość skądinąd jest najniższa pośród państw zachodnich¹⁸. **Chorobą Ameryki stały się procedury**, które są wykorzystywane przez poszczególne grupy interesów

¹⁶ Soros: *dzięki kapitalizm jest zagrożeniem dla demokracji* (rozmowę przeprowadził R. Korzycki), „DGP” z 10–11 listopada 2009 r.

¹⁷ Z. Brzeziński, *From hope to audacity. Appraising Obama's foreign policy*, „Foreign Affairs”, styczeń–luty 2010.

¹⁸ D. Brooks, *The next culture war*, „IHT” z 28 września 2009 r.

czy sektory administracji. Gorset tych procedur uniemożliwia podejmowanie jakichkolwiek decyzji albo zezwala na poruszanie się wyłącznie w ramach procedur, także wtedy, gdy zdrowy rozsądek temu przeczy. Pisałem o tym przy okazji wizy dla Nigeryjczyka, który chciał zdetonować ładunek wybuchowy w samolocie nad Detroit. Dostał wizę, choć wszystkie dostępne informacje mówiły, że nie powinien jej otrzymać. Nie dostają jej Polacy, którzy chcą tam pracować, nie pozwalają na to bowiem przyjęte przez Kongres USA odpowiednie procedury. Pisał także o tym Paul Krugman, porównując dzisiejsze Stany Zjednoczone do XVIII-wiecznej Polski i jej ustrojowej zasady-nieszczęścia *liberum veto*. Nie *imperial overstretch* pogrąży USA, lecz *filibuster* (po polsku „austriackie gadanie”) i paraliżowanie polityki państwa i niezbędnych reform przez partykularne interesy poszczególnych stanów lub branż. Przypomniał też finał, a następnie tytuł polskiej pieśni legionowej, kiedy Polski już nie było. Tytuł jego tekstu brzmiał „**Jeszcze Ameryka nie zginęła**”, i dodawał: „choć jej Senat mocno nad tym pracuje”¹⁹.

Tym poważniejsze na tym tle wydawały się problemy gospodarcze Ameryki, choć z nimi łatwiej się uporać niż z tak głębokim kryzysem moralnym. W tej sferze największym problemem było **narastające lawinowo zadłużenie wewnętrzne**. Dług publiczny USA był szacowany na ok. 13 bln USD i przekraczał 90% PKB. Za kilka lat powinien przekroczyć 100% PKB i analitycy finansowi zaczęli snuć wizję niewypłacalności Ameryki, co pogrążyłoby jej wierzycieli oraz zaciążyło poważnie na gospodarce światowej. Szczególny niepokój budził najnowszy projekt budżetu USA, który zakłada najwyższe w historii wydatki (3,8 bln USD) i bezprecedensowo wielki deficyt (1,6 bln USD, czyli 4,5% wartości gospodarki). Stymulowanie gospodarki poprzez jej coraz większe zadłużenie jest jednak bardzo ryzykowne, ponieważ po pierwsze, nie gwarantuje sukcesu, a po drugie, zapowiada długotrwałą stagnację gospodarczą. Wreszcie ogranicza możliwości Ameryki na scenie międzynarodowej i uzależnia ją od humorów wierzycieli. Dla większości obserwatorów nie ulegało wątpliwości, że kłopoty gospodarcze Ameryki są tego rodzaju, iż musi się ona nieodwołalnie pożegnać ze snem o hegemonii czy innej formie silnego globalnego przywództwa. Sympatyzowano jednocześnie z tymi projektami Obamy, które zmierzały do ukrócenia „kwantowych sztuczek” w tworzeniu instrumentów finansowych wysokiego ryzyka, podlegającym rzekomo kontroli dzięki wymyślaniu coraz to nowych matematycznych modeli ryzyka, za które zresztą przyznano kilka Nagród Nobla. Także noblista (1970) Paul Samuelson cieszył się, że administracja Obamy odeszła od polityki finansowej Busha, która polegała na tym, że „biedni i klasa średnia byli zmuszani do subsydiowania ultrabogaty”. Paul Krugman, surowy krytyk polityki gospodarczej Busha, noblista z 2008 r., krytkował jednak Obamę za niewystarczającą śmiałość w reformowaniu (stymulowaniu) gospodarki i przeprowadzaniu innych zmian (reforma zdrowia)²⁰.

¹⁹ P. Krugman, *America is not yet lost*, „IHT” z 7 lutego 2010 r.; R. Kuźniar, *Wiza dla Umara*, „Polska Zbrojna” z 17 stycznia 2010 r.

²⁰ J. Gray, *Hegemon na krawędzi upadku*, „Dziennik” (dodatek „Europa”) z 13–14 czerwca 2009 r.; W. Gadomski, *A jeśli Stany Zjednoczone okażą się niewypłacalne*, „GW” z 4 stycznia 2010 r.; M.A. O’Grady, *Fisher: Fed nie będzie chłopcem na posyłki*, „Dziennik” (WSJ) z 1 czerwca 2009 r.; P. Krugman, *Not*

Budżet na obronę właściwie nie uległ zmniejszeniu. Administracja Obamy wystąpiła o 640 mld USD na wydatki wojskowe w 2010 r., co jest nadal wielkością astronomiczną, zważywszy na zakładany deficyt w budżecie USA. Znaczącym zmianom uległa jednak struktura wydatków na obronę. Porzucono lub zamrożono najdroższe programy zbrojeniowe, w tym oczywiście irracjonalny program MD. Szef Pentagonu Bob Gates ma nadzorować przestawianie struktury wydatków w kierunku wyposażania armii USA w taki rodzaj uzbrojenia, które ma służyć aktualnie toczonym wojnom i realnym, a nie wymyślnym zagrożeniom. Obama starał się też wymusić na swoim sektorze wojskowym przestrzeganie prawa w tak zwanej wojnie z terroryzmem, a także, jak pisał Thomas Friedman, chciał ograniczyć wpływ ośrodków zainteresowanych prowadzeniem przez USA operacji militarnych za granicą. Wobec oporu tego sektora, nacisków i argumentacji wojskowych (oraz będących na ich usługach prawników) na rzecz dalszego stosowania brudnych metod walki przebiegało to bardzo niekonsekwentnie. Wprawdzie Obama jednoznacznie zakazał tortur, ale likwidacja okrytego niechlubną sławą więzienia w Guantanamo przeciągała się w nieuzasadniony sposób. Pentagon nadal posługiwał się znaną z rozlicznych bezkarnych zabójstw w Iraku firmą Blackwater (a następnie jej sukcesorką Xe), a Obama podpisywał zgodę na ataki uzbrojonych dronów (predatorów) przeciwko członkom Al-Ka'idy i talibom na terenie Pakistanu. Z uwagi na nieprecyzyjne rozpoznanie oraz akceptację przez Waszyngton strat cywilnych, jak się okazało, zabicie przy użyciu tego rodzaju sprzętu jednego bojownika pociągało za sobą śmierć kilkunastu niewinnych osób (rodziny, sąsiadów). W prawie międzynarodowym tego rodzaju praktyka nazywa się *extrajudicial killing* (pozaprawne zabijanie). W dalszym ciągu służby specjalne USA stosowały prowokacje, czyli inspirowały do zamachów terrorystycznych po to, aby uprzedzając taki zamach, ogłaszać sukces w walce z terroryzmem i podkreślać powagę zagrożenia z tej strony. O tym, jak bardzo Ameryka była podatna na psychozę strachu (podsycaną przez ośrodki zainteresowane jej utrzymywaniem dla uzasadniania zbrojeń), świadczyła reakcja na nieudaną próbę zamachu nad Detroit (w samolocie lecącym z Amsterdamu do Detroit). Ten nieudany zamach świadczył o słabości Al-Ka'idy i jej rozpaczliwej determinacji dania „znaku życia”, co mimo nieudolności służb USA i tak się nie powiodło. W amerykańskich mediach i politycznym dyskursie incydent przedstawiano jako powrót śmiertelnego zagrożenia, któremu nowy prezydent nie może sprostać (nie jest przecież „wojennym wodzem”, lecz laureatem Nagrody Nobla)²¹. Pomimo dość nieśmiały prób ograniczenia potęgi kompleksu wojskowo-technologiczno-finansowego i przywrócenia norm prawnych do sposobu używania siły przez armię USA prezydent Obama znajdował się pod wściekłym atakiem przedstawicieli republikańskiej prawicy (J. McCain, J. Bolton, D. Cheney), która oskarżała go o miękkość wobec wrogów USA i narażanie na szwank bezpieczeństwa kraju²².

enough audacity, „IHT” z 25 czerwca 2009 r.; P.A. Samuelson, *Heed the hopeful science*, „IHT” z 23 października 2009 r.; R. Korzycki, *Wielka dziura w budżecie Obamy*, „DGP” z 2 lutego 2010 r.

²¹ M. Urzędowska, *Nowa wojna z Al-Ka'ida*, „GW” z 4 stycznia 2010 r.

²² J. Bolton, *A fast way to lose the arms race*, „IHT” z 26 maja 2009 r.; *A lot more to cut* (Editorial), „IHT” z 11 maja 2009 r.; Z. Parafianowicz, *Spisek pod nadzorem FBI*, „Dziennik” z 22 maja 2009 r.; M. Bosacki,

W sprawach wewnętrznych prezydentowi Obamie trudniej było dokonać przełomu. Napotkał bowiem potężny opór grup interesów, łatwo przy tym manipulujących świadomością i postawami społeczeństwa amerykańskiego. Nie sposób także pozbyć się wrażenia, że prezydent **Obama działa w cieniu syndromu 22 listopada** (dzień zamachu na prezydenta Kennedy'ego). Ma świadomość, że musi posuwać się ostrożnie, aby zanadto nie przycisnąć do muru biznesowych i ideologicznych przedstawicieli poprzedniej grupy rządzącej Ameryką i aby nie stać się celem podobnych przedsięwzięć, jakich ofiarą padł John Kennedy. To przecież część amerykańskiej tradycji politycznej. Jak pisał Andrew Sullivan z „The Times”, „Jeszcze żaden prezydent nie był tak wściekle i w tak wulgarny sposób atakowany przez opozycję jak Barack Obama. Obarcza się go winą za wszystkie problemy Ameryki”. John McCain oskarżał go o to, że „stoi na czele skrajnie lewicowej krucjaty, której celem jest bankructwo Ameryki”²³. W klimacie takich oskarżeń łatwo znajdują się ci, którzy od oskarżeń przejdą do czynów...

W polityce zagranicznej łatwiej było dokonywać przełomów, a przynajmniej je zapoczątkowywać. Istotnie, to przede wszystkim na scenie międzynarodowej mieliśmy do czynienia z inną Ameryką. W relacjach z niektórymi państwami czy regionami zasygnalizowane zostały głębokie zmiany, nawet jeśli nie doszło do ich zaawansowania ze względu na bagaż obciążeń i bariery tkwiące w środowisku międzynarodowym USA, jakże zmienionym pod wpływem polityki poprzedniej administracji. Dążenie do odzyskiwania przywództwa lub próby przewodzenia nie mogły łatwo się spełnić, ponieważ Ameryka sama nie była w dobrej sytuacji, nie miała świata do zaoferowania dobrego przykładu ani hojności, która wcześniej się jej zdarzała, a przede wszystkim świat miał trochę dość Ameryki, chciał od jej przywództwa odpocząć, nawet jeśli miałyby to utrudniać rozwiązywanie jakichś problemów międzynarodowych. **Nowe otwarcia prezydenta Obamy** dotyczyły przede wszystkim stosunków ze światem islamu, z Rosją, z Azją Wschodnią, w sferze kontroli zbrojeń i rozbrojenia. W stosunkach z Rosją był to słynny „reset” i wyrażał się w gotowości do podpisania układu o daleko idącej redukcji sił strategicznych oraz rezygnacji z wywierania presji na granice Rosji (chodzi o wspieranie działań, które Moskwa odbierała jako zagrożenie dla bezpieczeństwa FR – np. forsowanie rozszerzenia NATO, obecność militarna wokół Rosji). W nowym podejściu Obamy chodziło o przekonanie Rosji do zbliżenia z Zachodem i wspólnego podejścia do ważnych problemów międzynarodowych (wizyta w Moskwie w lipcu 2009 r.). Stosunkowo szybko administracja Obamy miała się przekonać, że wobec Moskwy nie wystarcza mieć dobrą wolę, że w takich sytuacjach lubi ona żądać więcej, niż może otrzymać, co zmusza partnera do usztywnienia swojego wyjściowego, szcze-

Guantanamo wzmacnia naszych wrogów, „GW” z 22 maja 2009 r.; idem, *Chore ramię supermocarstwa (CIA i walka z terroryzmem)*, „GW” z 5–6 września 2009 r.; M. Lander, M. Mazzetti, *U.S. still using security firm it broke with*, „IHT” z 21 sierpnia 2009 r.; *The Torture Papers* (Editorial), „IHT” z 25 sierpnia 2009 r.

²³ A. Sullivan, *Obama to wróg publiczny numer jeden w USA*, „Polska. The Times” z 16–17 stycznia 2010 r.

rego i życzliwego stanowiska²⁴. Odnowienie dialogu strategicznego z Moskwą, poniechanie projektu MD w wersji Busha oraz zaprzestanie wobec niej agresywnej retoryki, w tym puszczenie w niepamięć wojny na Kaukazie (choć uczyniła to już w pewnym stopniu administracja Busha) wywołało niepokój w tych kręgach polityczno-medialnych w Europie Środkowo-Wschodniej, które zżyły się z poprzednią administracją i błędnie uważały, że to właśnie ona jest gwarancją bezpieczeństwa państw regionu. Politycy sprawujący do niedawna władzę w tych krajach (np. A. Kwaśniewski), byli dyplomaci czy eksperci reprezentujący ten krąg wystosowali nawet w lipcu 2009 r. do Obamy list otwarty z pytaniami i wątpliwościami wobec kursu nowego prezydenta USA. Biały Dom nie zgodził się z tezami listu (szerzej nieco dalej). Prawdą jest, że nowy prezydent poświęcał mniej uwagi Europie i sprawom atlantyckim, uważał bowiem, że w tej strefie, z tą grupą państw nie ma poważniejszych problemów. Ciężar dialogu i utrzymywania stosunków z UE i w obrębie Sojuszu Atlantyckiego spadł na Departament Stanu, co w niektórych stolicach europejskich odczytywano jako degradację miejsca wspólnoty euroatlantyckiej w polityce USA. Było to częściowo prawdziwe, przynajmniej w ujęciu względnym. Obama musiał poświęcać więcej uwagi i energii tym kierunkom, obszarom i partnerom, którzy stanowili dla Ameryki problem. Ponadto **ze względów kulturowych i związanych z pochodzeniem był bardziej uniwersalnie usposobiony**, co nie wszystkim w Europie i Ameryce się podobało.

Prezydent Barack Obama wygłosił kilka wielkich przemówień, które nakreśliły zupełnie inną wizję świata w stosunku do tej, którą miał i starał się siłowo wcielać w życie jego poprzednik (który słusznie zapadł się pod ziemię i tylko raz pokazał się publicznie, wraz z innymi „byłymi”, przy okazji kampanii pomocy dla ofiar katastrofy humanitarnej na Haiti). „Odważne i historyczne” (według słów M. Albright) **przemówienie Obamy na Uniwersytecie Kairskim** miało być w jego intencji „nowym otwarciem” w stosunkach z krajami islamu, przed wszystkim arabskimi. Obama odżegnał się od posądzeń, że prowadząc wojnę z Al-Ka’idą, Ameryka prowadzi „wojnę z islamem”. Przypomnijmy, że w czasie wojny przeciwko Irakowi amerykańscy politycy i wojskowi sięgali do religijnych porównań²⁵. Świetnie skonstruowane przemówienie zostało nawet dobrze przyjęte w świecie islamu, ale nie mogło stanowić przełomu, ponieważ Waszyngton nie był w stanie wpłynąć na rząd izraelski w sprawie negocjacji z Palestyńczykami lub przynajmniej złagodzenia kursu wobec nich po tym, co w krajach arabskich określano jako masakrę w Gazie (operacja „Płynny Ołów” z przełomu 2008/2009). Jak pisał Roger Cohen, „Beniamin Netanjahu, izraelski premier, wygrał pierwszą rundę z prezydentem Barackiem Obamą. **Nie wróży to dobrze interesom Ameryki ani długofalowym interesom bezpieczeństwa Izraela**”²⁶. W podejściu do Afryki (podobnie

²⁴ C.J. Levy, P. Baker, *U.S.–Russia nuclear agreement is first step in broad effort*, „IHT” z 6 lipca 2009 r.; P. Baker, C.J. Levy, *In Russia speech, Obama emphasizes shared interests*, „IHT” z 7 lipca 2009 r.

²⁵ M. Bosacki, *Pentagon opisywał wojnę w Iraku cytatami z Biblii*, „GW” z 20 maja 2009 r.

²⁶ R. Cohen, *Obama in Netanyahu’s web*, „IHT” z 27 maja 2009 r.; J. Zeleny, H. Cooper, *Obama calls for alliances with Muslims*, „IHT” z 4 czerwca 2009 r.; M.K. Albright, *Obama’s Muslim speech*, „IHT” z 2 czerwca 2009 r.

jak do Afroamerykanów) Obama musiał kroczyć wąską kładką, w taki sposób, aby z jednej strony jego własne doświadczenie było inspiracją dla ludzi rasy czarnej na całym świecie, a z drugiej, by nie został zakwalifikowany jako przedstawiciel tej rasy, w Ameryce czy szerzej na scenie międzynarodowej. Jego przesłanie było brutalnie szczere: **ani rasizm, ani kolonializm was nie usprawiedliwia**. Możecie pójść moją drogą, to znaczy być sędziami czy prezydentami, a nie tylko tancerzami, rapcami, członkami gangów narkotykowych czy samochodowych.

Najbardziej kompleksowym **wykładem jego wizji stosunków międzynarodowych było przemówienie w czasie sesji ZO NZ 23 września 2009 r.** Wymienił tam cztery filary pewnej rzeczywistości, w której chciał, aby żyły „nasze dzieci”: nieprolifracja i rozbrojenie, umacnianie pokoju i bezpieczeństwa, ochrona planety (klimatu i środowiska naturalnego), rozwój globalnej gospodarki, która daje szansę wszystkim narodom na ziemi. Fundamentem dla nieprolifracji i ograniczania broni nuklearnej musi być całościowe wypełnianie NPT, także przez mocarstwa tworzące klub nuklearny. Potwierdził dążenie do radykalnych ograniczeń broni strategicznej po stronie USA i Rosji (oba te kraje mają 95% ładunków nuklearnych świata), przystąpienie USA do CTBT oraz zwołanie na kwiecień 2010 r. spotkania krajów dysponentów broni nuklearnej w celu wspólnego podjęcia wysiłków w kierunku umocnienia reżimu nieprolifracji i określenia perspektyw realizacji inicjatywy „Global Zero”, czyli całkowitej eliminacji broni nuklearnej. Obama we wcześniejszym przemówieniu praskim zapowiedział podjęcie kroków w tym kierunku, choć zastrzegł, że proces dochodzenia do świata wolnego od broni nuklearnej może potrwać kilkadziesiąt lat i cel ów nie zostanie zrealizowany za jego życia. Opowiadając się silnie za prawami człowieka i demokracją, przyznał, że demokracja nie może być narzucona z zewnątrz, a Ameryka zbyt często selektywnie starała się upowszechniać ów system. „Ameryka pozostanie po stronie prawa tych, którzy chcą sami określać swój los”. Prezydent USA podkreślił ogromne znaczenie i pożytki płynące z pracy i współpracy w ramach ONZ i gotowość wnoszenia przez USA wkładu w tę pracę (silne odcięcie się od polityki G.W. Busha wobec ONZ). Pierwsze miesiące prezydentury Obamy tak bardzo odmieniły klimat międzynarodowy i zaznaczyły się tak wieloma ważnymi inicjatywami, że Komitet Pokojowej Nagrody Nobla w Oslo zdecydował się uhonorować go tą nagrodą, co wzbudziło na świecie, a zwłaszcza w USA, ogromne kontrowersje. Wątpliwości dotyczyły zasługi: czy już zasłużył na tę nagrodę, oraz konsekwencji: czy nie będzie mu to krępować rąk w polityce zagranicznej, szczególnie bezpieczeństwa (Ameryka nadal toczyła dwie wojny, w Iraku uśpioną, w Afganistanie otwartą i krwawą). Komitet uznał, że nagroda należy się Barackowi Obamie za stworzenie nowego klimatu w stosunkach międzynarodowych, przywrócenie pozycji dyplomacji wielostronnej i centralnej roli NZ, zaproponowanie wizji świata wolnego od broni jądrowej. Do tego uzasadnienia można z pewnością dodać odsunięcie od władzy w Ameryce sił politycznych odpowiedzialnych za dwie wojny, brutalizację życia międzynarodowego, pogardę dla wartości i norm, które są ważne dla całej społeczności międzynarodowej. I jest w jego polityce i wizji porządku międzynarodowego jeszcze coś, na co się nie zwraca uwagi. **To respekt dla wspianiaj różnorodności świata, w którym cywilizacje nie**

muszą się zderzać, lecz ze sobą pokojowo współpracować. Ameryka Obamy nie chce siłą narzucać innym swego modelu rozwojowego, nie chce przetwarzać innych krajów czy regionów na obraz i podobieństwo swoje, czyli zgodnie ze swymi egoistycznymi interesami. Ta nagroda zatem, choć zaskakująca, co przyznał sam prezydent Obama już w Oslo, jest zasłużona. Obama wzbudził nadzieję świata, że może on być lepszy i bezpieczniejszy nie dzięki wojnom i zbrojeniom. Neokonserwatywni komentatorzy, którzy uparcie usiłowali znajdować w jego wizji i polityce kontynuację ich (Busha) polityki, wskazywali z radością, że w swoim przemówieniu w Oslo z okazji wręczenia pokojowej Nagrody Nobla mówił o wojnie, choć chodziło o wojnę sprawiedliwą (oni twierdzili, że też takie toczyli). Obama chciał się wytłumaczyć z wojny w Afganistanie, a przy tym podkreślał, że jego zdaniem „w kontaktach z państwami łamiącymi zasady i prawa musimy wypracować alternatywne do przemocy sposoby zmuszania ich do zmiany swego postępowania”. Równie ważne były jednak jego słowa o „sprawiedliwym pokoju” zbudowanym na wrodzonej każdemu człowiekowi godności i jego prawach. Mówiąc o sprawiedliwej wojnie i pokoju, cytował Martina Luthera Kinga i Jana Pawła II, „klasyków” niecenionych przez neokonserwatystów. Roger Cohen bardzo celnie zauważył, że Barack Obama jako prezydent USA wprowadził nowy język do sposobu, w jaki definiuje relację między Ameryką a światem. „Pojęcie Stanów Zjednoczonych jako wyjątkowego mocarstwa, jako punktu odniesienia dla całej ludzkości, pozostawało w centrum heroicznej amerykańskiej narracji. Od Lincolna do Busha (...) amerykańska wyjątkowość zawierała powiew mesjanizmu i wiary w kraj predestynowany do globalnego wywyższenia. **Obama reprezentuje odejście od tej tradycji**”. On już nawet nie nawiązuje do „niezbędnego narodu” Clintona, pisze Cohen, ale jednocześnie zauważa, że jeśli nie uda mu się realizacja programu naprawy wewnętrznej Ameryki, kraj nie pójdzie za nim²⁷.

Wiele wskazuje na to, że skala wyzwań, które odziedziczył po republikanach, wypali i zużyje jego prezydenturę i jego samego do tego stopnia, że nie będzie miał szans na reelekcję. Pierwszy rok prezydentury, rozwijania ambitnego programu zmiany, przyniósł mało namacalnych sukcesów. Jedyne konkretne osiągnięcie to rezygnacja z humbugu, jakim był projekt systemu antyrakietowego Busha (MD), wbrew silnej opozycji wewnętrznej. Nie jest zresztą pewne, czy sami Amerykanie potrafią docenić wagę tej decyzji. Jednak **Zbigniew Brzeziński** wystawia Obamie za pierwszy rok bardzo dobrą ocenę za politykę zagraniczną. Twierdzi, że w niespełna rok udało mu się na nowo skonceptualizować kilka najważniejszych problemów geopolitycznych polityki USA: islam, konflikt na Bliskim Wschodzie, negocjacje z Iranem, zmiana podejścia do Afganistanu z militarne na bardziej całościowe, Ameryka Łacińska, w tym Kuba, redukcja arsenałów nuklearnych, Chiny jako partner nie tylko ekonomiczny, lecz także geopolityczny, poprawa stosunków z Rosją, kolektywne partnerstwo w łonie NATO. Można się spierać z Brzezińskim, do jakiego stopnia owa rekonceptualizacja jest pełna, udana, realizowana. On sam nie ukrywa, że owo wielkie redefiniowanie polityki zagranicznej USA obarczone jest ryzykiem

²⁷ R. Cohen, *America's limits*, „IHT” z 7 października 2009 r.; R. Kuźniar, *Tak dla dyplomacji*, „DGP” z 12 października 2009 r.; B. Obama, *Moje skromne osiągnięcia*, „GW” z 11 grudnia 2009 r.

„rozwodnienia albo zwłoki powodowanej przez wyższych urzędników niechętnych tej zmianie lub zwyczajnie stawiających rutynę przed innowacją”. Największe zagrożenia dostrzega w zdolności uczynienia postępu w odniesieniu do Iranu, konfliktu izraelsko-palestyńskiego i kompleksu afgańsko-pakistańskiego²⁸. W ocenie polityki Obamy być może więcej racji ma **Anne Applebaum**, która w dalszym ciągu uważa, że „może on się w końcu okazać zasadniczo odmiennym prezydentem od poprzedników – ale jak dotąd taki nie jest. Obserwując jego konserwatyzm, można się zastanawiać, czy nie padnie ofiarą własnej retoryki. **Obama mówi inaczej i przez to naraża się na wściekłą krytykę oponentów. Ale nie działa inaczej, czym może rozczarować zwolenników. W wielu dziedzinach status quo nie jest zły. Jednak nie to obiecywał Obama w listopadzie 2009 roku**”²⁹. A może rację ma Serge Halami, który artykuł o braku zapowiadanych zmian w pierwszym roku prezydentury Obamy kończy następującym zdaniem: „W istocie «cud», którym w listopadzie 2008 r. były amerykańskie wybory prezydenckie, może polegać na tym, że przypomni nam, iż cudów nie ma. I że losy Stanów Zjednoczonych nie zależą ani od osobowości żadnego człowieka, ani od woli żadnego prezydenta”³⁰.

NATO W AFGANISTANIE – ZŁA WOJNA

Spotkanie na szczycie z okazji 60. rocznicy podpisania Traktatu Waszyngtońskiego i powstania Sojuszu Atlantyckiego przebiegało w cieniu niekończącej się wojny w Afganistanie. To już druga okrągła rocznica obchodzona w cieniu toczzonej przez Sojusz wojny. Dodajmy, wojny z wyboru. W 1999 r., w czasie szczytu waszyngtońskiego, toczyła się wojna przeciwko Federalnej Republice Jugosławii w związku z konfliktem o Kosowo. Strach pomyśleć o 70. rocznicy Sojuszu, zwłaszcza w kontekście niektórych apeli o przekształcenie NATO w sojusz globalny...

Od kilku lat z rosnącym niepokojem piszemy w „Roczniku Strategicznym” o sposobie, w jaki Zachód prowadzi wojnę w Afganistanie. Już kilka lat temu pisaliśmy o „afgańskiej pułapce” i tym, że sposób prowadzenia tej operacji powoduje grzęźnięcie Sojuszu w Środkowej Azji. Ta operacja, jej przebieg i czas, szkodzi spistości NATO i jego międzynarodowej wiarygodności. Wiele też wskazuje na to, że niektórym państwom z sąsiedztwa Afganistanu odpowiada zagrzebanie się Sojuszu na lata w tym kraju; chodzi o Rosję, Chiny czy może nawet Iran. Podstawowe błędy tej operacji od samego początku polegają na złym użyciu, a właściwie nadużywaniu siły militarnej, wierze, że za pomocą środków militarnych można ten konflikt rozstrzygnąć, niewłaściwym zdefiniowaniu celu operacji, w tym formuły zwycięstwa. Co gorsza, w NATO uznano tę wojnę za test dla Sojuszu. Podobnie uczyniono poprzednio w Bośni i Hercegowinie i wojnie o Kosowo. Taka deklaracja pozbawia Sojusz strategicznej i politycznej elastyczności. Jeśli test, to trzeba brnąć do zwycięskiego końca, do ostatniego taliba, aż demokracja zatriumfuje pod Hindukuszem, aż bę-

²⁸ Z. Brzeziński, *From hope to audacity...*, op. cit.

²⁹ A. Applebaum, *Nie to Obama obiecywał*, „GW” z 20 stycznia 2010 r.; M. Janik, *Rok nieuchronnych rozczarowań*, „DGP” z 20 stycznia 2010 r.

³⁰ S. Halami, *Czy Ameryka jest reformowalna*, „Le Monde Diplomatique”, styczeń 2010.

dziemy mogli odtrąbić *mission accomplished* bez względu na koszty i długofalowe konsekwencje. Zwłaszcza Polacy powinni wiedzieć, że o ile są sytuacje, w których trzeba powiedzieć, iż nie ma pokoju za wszelką cenę, o tyle nie można w operacji ekspedycyjnej dążyć do zwycięstwa za wszelką cenę, zwycięstwa, którego warunki my ustalamy. Cena do zapłacenia zawsze przyjdzie³¹.

Ostatni rok operacji w Afganistanie potwierdził przywiązanie NATO do swych błędów. Przypomnijmy, że był to trzeci, kolejny rok największych, czyli rosnących strat w ludziach po wszystkich stronach konfliktu, po stronie sił międzynarodowych, po stronie rebeliantów, a zwłaszcza po stronie ludności cywilnej, która ginęła z rąk (od broni) NATO, głównie USA, oraz talibów i terrorystów. Błędem, który ze szczególną ostrością ujawnił się w 2009 r., było bezwarunkowe popieranie rządów Karzaja, które charakteryzowały nepotyzm, korupcja i nieudolność. Jego ekipa i administracja nie była w stanie przejąć odpowiedzialności za rządzenie krajem, a przecież „rządził” nim od grudnia 2001 r. On sam, jego rodzina i klan przechwytywali znaczną część pomocy międzynarodowej. Utrwalił się tam specyficzny podział pracy: NATO i inne podmioty uczestniczące w tej operacji świadczyły pomoc i wyręczały miejscowe „władze” w budowie infrastruktury, animowaniu pracy służb publicznych, starały się zapewnić bezpieczeństwo, natomiast rząd Karzaja pozorował rządzenie i zajmował się własnymi interesami. Zupełnie kuriozalny w tym kontekście był pomysł przeprowadzenia „demokratycznych” wyborów prezydenckich, zwłaszcza że miały się one odbyć w środku krwawej wojny. Tak postanowił Zachód, który chciał, aby rząd zainstalowanego przezeń Karzaja cieszył się „demokratyczną” legitymizacją. „**Mroźek by tego nie wymyślił!**”. Istotnie, wszystko odbyło się jak w scenariuszu Mrożka. W pierwszej rundzie wyborów, „wygranej” przez Karzaja, doszło do tak masowych oszustw ze strony jego aparatu, że NATO zmusiło Karzaja do drugiej tury wyborów, negocjując z nim wielkość poparcia, jakie miał rzekomo uzyskać w pierwszej turze, czyli nieco poniżej 50%. Miał wygrać pierwszą turę, ale nie uzyskać progę 50%. I wtedy sprzeciwił się temu teatrowi jego kontrkandydat Abdullah Abdullah, były minister spraw zagranicznych w rządzie Karzaja. Domagał się zmiany składu centralnej komisji wyborczej, która była odpowiedzialna za sfałszowanie wyników pierwszej tury. Ponieważ w tym przypadku Karzaj się już nie ugiął, Abdullah Abdullah, mimo namów ze strony Zachodu, wycofał się przed drugą turą. Wtedy orzeczono zwycięstwo Karzaja, który został „demokratycznie” wybranym prezydentem na kolejną kadencję. Godne Mrożka, ale też znane z innej epoki i innego ustroju. Całą tę groteskową operację firmowały i ubezpieczały wojska NATO. Zginęła przy tym większa niż zwykle liczba żołnierzy, talibów, ludności cywilnej. Trzeba powiedzieć z naciskiem – **takich operacji Sojuszowi firmować nie wolno.**

³¹ N.D. Kristof, *The Afghanistan abyss*, „IHT” z 5 września 2009 r.; M. Górka, *NATO zmienia strategię w Afganistanie*, „GW” z 21 września 2009 r.; R. Kuźniar, *Koniec prymitywnego myślenia o Afganistanie*, „DGP” z 29 września 2009 r.; idem, *Co dalej z Afganistanem*, „GW” z 8 grudnia 2009 r.; M. van Creveld, *Wojna w Afganistanie jest już przegrana* (wywiad przeprowadził P. Zychowicz), „Rzeczpospolita” z 21 grudnia 2009 r.

Drugim kardynalnym błędem popełnianym przez NATO w Afganistanie było i pozostaje poleganie na sile militarnej. Amerykanie i ich sojusznicy dysponowali tak wielką przewagą w sile rażenia, technologii, komunikacji, rozpoznaniu, zdolności kupowania lojalności wśród miejscowych, że nie mogli dopuścić do siebie myśli, iż mogliby przegrać lub nawet pójść na kompromis z prymitywnym, słabo uzbrojonym, nielicznym przeciwnikiem. Siły międzynarodowe liczyły przecież ponad 100 tys. żołnierzy, do czego trzeba dodać podobną liczbę żołnierzy armii afgańskiej (plus policja rządowa – ok. 130 tys.). Siły talibów i terrorystów oceniano na ok. 15–20 tys. bojowników. Amerykanie i marionetkowy rząd Karzaja nie dopuszczali możliwości rozmów z talibami i jakichkolwiek ustępstw na ich rzecz. Problemem było także nadmierne stosowanie siły wobec rebeliantów, nadmierne, czyli powodujące zbędne i nieproporcjonalne straty wśród ludności cywilnej. Zbyt łatwo Zachód akceptował fakt, że skoro toczy się wojna, to muszą być ofiary wśród ludności cywilnej. Otóż nie, nie w takiej operacji. Takie stosowanie siły jest, jak wiadomo kontrproduktywne, nie tylko bowiem pozbawia nas legitymizacji moralnej, ale zasila bez końca pragnienie zemsty ze strony słabszych, lecz także niepokonanych. Zwiększa ich szeregi i legitymizuje ich działania w oczach miejscowych. Tak się przegrywa walkę o *minds and hearts*, jak mówią Anglosasi. Czasem było gorzej. Przeciwnikowi odmawiało się traktowania jak człowieka. Zasługiwał na to, aby go zabić, tylko dlatego, że był talibem, nawet jeśli nie było wiadomo, czy dopuścił się lub czy zamierza dopuścić się jakiegoś ataku na żołnierzy NATO lub ludność cywilną. Emblematyczną akcją tego rodzaju była **wspólna decyzja wojskowych niemieckich i amerykańskich, aby spalić żywcem ponad 100 osób**, za to, że kilku talibów uprowadziło dwie cysterny z paliwem należące do NATO. Stało się to w kontrolowanej przez Niemców prowincji Kunduz na północy kraju. Po uprowadzeniu dwóch cystern i stwierdzeniu, że ugrzęzły one w czasie przeprawy przez rzekę, niemieccy wojskowi wezwali na pomoc lotnictwo wojskowe USA. Mieli dużo czasu, aby rozpoznać sytuację, nic nie nagliło do podjęcia ataku. A jednak samolot USA wystrzelił rakiety w kierunku stojących cystern i przebywających tam ludzi. Wielu z nich to wieśniacy, którym talibowie rozdawali paliwo znajdujące się w cysternach. Wiadomo było, jaki będzie efekt odpalenia rakiet w kierunku cystern. Żywcem spłonęło ponad 100 osób. Odpowiedzialni za tę masakrę tłumaczyli, że większość zabitych to talibowie. Talibów można palić żywcem – taki wniosek może wynikać z tego rozumowania. I jeszcze raz: **takich akcji NATO nie wolno przeprowadzać**³².

Jeśli Amerykanie i Sojusz tak niechętnie zmieniają strategię afgańską i są gotowi kontynuować bez końca tę misję, to w dużym stopniu dlatego, że dysponują tam niemal miażdżącą przewagą. „Niemał” robi w tym przypadku wielką różnicę. Po drugiej stronie bowiem jest jedynie determinacja, odwaga, gotowość do

³² E. Bumiller, E. Schmitt, *Joint Chiefs Chairman criticizes Afghan air strikes*, „IHT” z 18 maja 2009 r.; Ch. Gall, *Afghan villagers describes chaos of U.S. strikes*, „IHT” z 14 maja 2009 r.; W. Jagielski, *Pakistan: krwawa wojna*, „GW” z 28 maja 2009 r.; Z. Parafianowicz, *Coraz więcej ofiar ofensywy NATO*, „Dziennik” z 8 lipca 2009 r.; W. Jagielski, *Afganistan, decydująca bitwa*, „GW” z 16 lipca 2009 r.; R.A. Opperl Jr., *At least 80 die in NATO airstrike in Afghanistan*, „IHT” z 4 września 2009 r.

ofiar, które zapewne są motywowane względami religijnymi: trzeba wygonić okupantów, niewiernych, którzy próbują tu przeszczepić inne obyczaje, narzucić ich styl rządzenia. Straty Zachodu wobec strat rebeliantów są mikroskopijne, dlatego USA i NATO mogą trwać przy swoim. Czy jednak bez końca? Ktoś przypisał przywódcy talibów mulle Omarowi powiedzenie (a może są to rzeczywiście jego słowa): „**oni mają świetne zegarki, ale my mamy czas**”. Wojna na czas to wojna na wycieńczenie. Afganistan nie zaznał dobrodziejstwa pokoju od 1979 r., od wejścia wojsk sowieckich do tego kraju³³. I to chyba dlatego prezydent Obama, obejmując władzę, zapowiedział zmianę strategii USA i NATO w Afganistanie. Stanowiło to dla niego zupełnie obcą problematykę, dlatego dość długo się do tego zbierał. Wreszcie od połowy 2009 r. zaczęły się w Białym Domu pod osobistym przywództwem Baracka Obamy prace nad nowym podejściem do tej wojny. Prezydenta ubiegli jednak wojskowi, którzy od samego początku dyktują strategię tej wojny, choć problem jest głównie polityczny, nie wojskowy. Tak było za G.W. Busha i tak stało się tym razem. Czyniono tutaj porównania do dyktowania przez wojskowych prezydentom Kennedy’emu i Johnsonowi postępowania wobec Kuby i Wietnamu, z wiadomym skutkiem³⁴. Stało się tak, mimo iż Obama zmienił dowódcę wojsk USA w Afganistanie; nowym dowódcą został gen. Stanley A. McChrystal. Jego poprzednik był uważany za zbyt konwencjonalnego wojskowego. Nowy dowódca szybko zażądał wzmocnienia sił USA i NATO o kolejne 40 tys. żołnierzy. Do tej pory siły USA liczyły niemal 70 tys., a siły NATO ok. 40 tys. osób. Po dłuższych deliberacjach w gronie swych doradców **prezydent Obama poparł nową strategię McChrystala**. Trudno powiedzieć, aby była ona zupełnie nowa. Oprócz zwiększenia liczby wojsk USA (o ok. 30 tys.) i NATO (o ok. 10 tys.) sojusznicy mieliby bardziej troszczyć się o unikanie ofiar cywilnych oraz zintensyfikować pomoc dla władz w Kabulu, aby te były w stanie przejąć odpowiedzialność za kraj w perspektywie 2–3 lat. Obama zapowiedział, że *surge* (jak w Iraku) ma przechylić szalę zwycięstwa na stronę Zachodu i Karzaja i już za 18 miesięcy będzie można zacząć wycofywanie wojsk. Prymat dano zatem inicjatywie militarnej. I choć zaczęto coraz głośniej mówić o konieczności wyjścia z ofertą rozmów wobec talibów, kończyło się na propozycji złożenia broni w zamian za niekaralność i pomoc we włączeniu się do normalnego życia. Nazwano to próbą ich kupienia. Nowa strategia zaczęła się od wielkiej ofensywy wojsk sojuszniczych i rządowych na pozycje powstańców w prowincji Helmand (luty 2010 r.). Przy tej okazji doszło do całkowitego zmarginalizowania sojuszników i potraktowania NATO jako instrumentu strategii USA. Prezydent Obama ze swym zespołem przygotowywał w zamknięciu nową strategię, a po jej ogłoszeniu zwrócił się z prośbą o przysłanie większej liczby wojsk. Było to zupełnie w stylu Busha (typowy unilateralizm) – **sojusznicy zostali potraktowa-**

³³ Zob. szerzej nt. gospodarczych, społecznych i demograficznych następstw wojny w Afganistanie: A. Łukaszewicz, *Afganistan i Irak: ekonomiczny bilans wojny z terroryzmem*, „Żurawia Papers”, z. 15, Warszawa 2010.

³⁴ G.M. Goldstein, *From defeat, lessons in victory*, „IHT” z 17 października 2009 r.; autor na przykładzie doradztwa McGeorge’a Bundy’ego (przewodniczącego NSC) pokazuje, jak wojskowi doradcy Białego Domu wciągnęli USA w pełną wojnę w Wietnamie; R. Kuźniar, *My mamy zegarki, oni mają czas*, „Przekrój” z 15 sierpnia 2009 r.

ni jak podwykonawcy na wielkiej budowie³⁵. Doszło w ten sposób do całkowitej amerykańskiej operacji; gen. McChrystal jest dowódcą wszystkich wojsk. Nie stanowiłoby to jednak wielkiego problemu, gdyby nie fakt, że to właśnie z powodu błędów USA i prymatu czynnika militarnego nad politycznym (von Clausewitz przewraca się w grobie) ta wojna trwa tak długo. Zapowiedziany przez Baracka Obamę termin początku wycofywania się natychmiast został zresztą zdezwuony zarówno przez szefa Pentagonu, jak i obu najważniejszych generałów: Petraeusa i McChrystala. Wszyscy oni twierdzili, że Ameryka ma zbyt ważne interesy w regionie, by tak szybko opuszczać Afganistan. Ameryka – być może, ale nie NATO. Zupełnie przy tym nie uwzględniano roli, jaką powinni odgrywać w rozwiązywaniu tego konfliktu sąsiedzi. Od Pakistanu Amerykanie domagali się wyłącznie kolejnych ofensyw przeciwko talibom, a używając dronów do atakowania rebeliantów po stronie pakistańskiej i powodując tam wielkie straty cywilne, przyczyniali się jedynie do wzrostu nastrojów antyamerykańskich i antyrządowych. Rosjanie byli zaś największym beneficjentem wojny USA/NATO w Afganistanie. Nie dość, że zwalczano za nich skrajnych fundamentalistów, którzy mogliby destabilizować sytuację w post-sowieckich krajach Azji Środkowej i w południowej Rosji, to jeszcze NATO uzależniło się od zgody Rosji na transport zaopatrzenia dla swych wojsk w Afganistanie. Ze strony Rosji – majstersztyk. Międzynarodowa konferencja w Londynie na temat przyszłości Afganistanu w końcu stycznia 2010 r. nie przyniosła zmian w podejściu do tego konfliktu³⁶.

O dziwo, sojusznicy bez szemrania poparli nową strategię wojny w Afganistanie. Warto dodać, że na postawę polityków i mediów zachodnich wobec operacji afgańskiej nie miały wpływu wywierania swoista międzynarodówka ludzi (także znajdujących się w rządach państw zachodnich) i różnych podmiotów pozarządowych, która traktuje Afganistan jak pole bitwy między „siłami postępu i demokracji” a reakcyjnymi i zacofanymi talibami. Ci ludzie i organizacje często związali swe kariery z tą wojną, mają z Afganistanem liczne powiązania, od sentymentalnych, rodzinnych przez biznesowe po czysto polityczne, i zachowują się po trosze **jak lewicowo-postępową międzynarodówką z czasów wojny domowej w Hiszpanii**. Strategia McChrystala być może da nawet na krótką metę jakieś uspokojenie w Afganistanie (za cenę śmierci większej liczby talibów), ale na dłuższą metę, z uwagi na brak odpowiedniego komponentu politycznego, nie gwarantuje Zachodowi sukcesu. W tej sytuacji NATO nie powinno tam trwać bez końca u boku Amerykanów (nie mając na nich najmniejszego wpływu), lecz stopniowo się wycofywać. A jeśli wojna

³⁵ Zaprotekowałem przeciwko tego rodzaju praktykom w artykule-liście do prezydenta Obamy: R. Kuźniar, *To nie tak, Panie Prezydencie*, „Polska Zbrojna” z 13 grudnia 2009 r.

³⁶ *Gates says it's not time to leave Afghanistan*, „IHT” z 3 września 2009 r.; E. Schmitt, T. Shanker, *General calls for more troops to avoid Afghan failure*, „IHT” z 20 września 2009 r.; W. Jagielski, *Afganistan. Trzeba krwi*, „GW” z 22 września 2009 r.; R. Korzycki, *Siły NATO tak liczne jak armia sowiecka*, „DGP” z 22 września 2009 r.; J. Burns, A. Cowell, *McChrystal rejects saling down Afghan military aims*, „IHT” z 1 października 2009 r.; D. Filkins, *Stanley McChrystal's long war*, „IHT” z 14 października 2009 r.; W. Jagielski, *Zachód okopuje się w Afganistanie*, „GW” z 10–11 listopada 2009 r.; M. Mazzetti, *No firm plans for a U.S. exit in Afghanistan*, „IHT” z 8 grudnia 2009 r.; Z. Parafianowicz, *Operacja „Gniew Kobry” przeciw helmandzkim rebeliantom*, „DGP” z 7 grudnia 2009 r.

ma się nadal toczyć, to niech prowadzi ją koalicja chętnych, mających strategiczne i ekonomiczne interesy w Afganistanie. Nie ma żadnego uzasadnienia dla kontynuacji misji NATO w tym kraju poza horyzont 18 miesięcy wyznaczony przez Obamę. **NATO nie może być stroną w wojnie domowej w odległym kraju** ani też nie powinno żyrować operacji militarnej, na której strategię nie ma żadnego wpływu. Dla Martina van Crevelda wojna w Afganistanie jest już tak czy inaczej przegrana. Jej przedłużanie przez Obamę to „niepotrzebna strata pieniędzy i wielu ludzkich istnień”. Niezrażone takimi opiniami i dotychczasowymi efektami swych operacji militarnych siły międzynarodowe (USA/NATO) podjęły 11 lutego 2010 r. największą od 2001 r. ofensywę, której celem jest zniszczenie talibów w prowincji Helmand i na okolicznych terytoriach. Szybko pojawili się pierwsi zabici. Jak trafnie napisano w „Gazecie Wyborczej”, polityka Zachodu w Afganistanie oznacza „więcej krwi”. Ale pamiętajmy: **talibowie, inaczej mieszkańcy Afganistanu, których dzisiaj zabijamy, nie mają żadnego związku z zamachem 11 września 2001 r.**

Jako *pendant* do dyskusji nad tym, co robić w Afganistanie, można zacytować słowa irackiego premiera po zakończeniu przez wojska USA działań bojowych na terenie tego kraju, choć nadal miało tam przebywać ponad 100 tys. żołnierzy amerykańskich, strzegących stabilności Iraku i interesów Ameryki. **Premier Nuri al-Maliki określił ten dzień, 30 czerwca 2009 r., jako dzień zwycięstwa i wypchnięcia sił okupacyjnych** porównywalny z powstaniem przeciwko wojskom brytyjskim w 1920 r.³⁷

Wojna w Afganistanie, jako być albo nie być Sojuszu, tak bardzo pochłaniała NATO, że inne wymiary jego działalności nie były tak widoczne. Ważnym wydarzeniem był naturalnie **rocznicowy szczyt Sojuszu**, który odbył się po obu stronach Renu, w Strasburgu i Kehl. Szczyt w Strasburgu już nie miał tak imperialnego charakteru jak ten zorganizowany w pałacu Ceașescu w Bukareszcie rok wcześniej. Nie było powodu do triumfu. W czasie wojny na Kaukazie w sierpniu 2008 r. Sojusz „ani drgnął”, a pogrążanie się w Afganistanie nie nastrajało optymistycznie. Sojusznicy potwierdzili swój program działania i determinację utrzymania wiarygodności NATO. Był to po trosze szczyt zapoznawczy – pierwszy z udziałem nowego prezydenta USA. Francuzi uczcili to powrotem do zintegrowanej struktury militarnej Sojuszu Atlantyckiego, z której wystąpili decyzją de Gaulle’a w 1966 r. Do NATO przystąpiły dwa nowe państwa – Albania i Chorwacja. Ten pierwszy kraj zdecydowanie przedwcześnie, ale trudno było w tej sprawie powstrzymać Amerykanów, dla których Albańczycy w Albanii i Kosowie okazali się najwierniejszymi sojusznikami na Bałkanach. W komunikacie ze szczytu znalazł się zapis będący zapowiedzią zmiany podejścia USA do systemu antyrakietowego, mianowicie stwierdzenie, że do sprawy trzeba podejść z należyłą uwagą, uwzględniając „poziom i rychłość zagrożenia oraz poziom akceptowalnego ryzyka”, a zagadnienie architektury takiego systemu pozostawiono otwarte. Sojusznicy przyjęli tę zmianę bez mrugnięcia okiem (z wyjątkiem Polski i Czech), a znaczna część z ulgą. Szczyt dał zielone światło do prac nad nową koncepcją strategiczną Sojuszu, czego nie moż-

³⁷ M. Zawadzki, *Irak pozbywa się Amerykanów*, „GW” z 30 czerwca 2009 r.

na było zrobić za G.W. Busha. Wstępne założenia dla nowej strategii przygotowała „grupa mędrców” (z Polski A.D. Rotfeld) i zostały one potwierdzone w postaci krótkiej Deklaracji o bezpieczeństwie Sojuszu. Nowy sekretarz generalny, którego kandydaturę uzgodniono tuż przed szczytem, Duńczyk Anders Fogh Rasmussen, powołał latem 2009 r. nową grupę mędrców (z Polski ponownie A.D. Rotfeld), mającą przygotować szkic takiego dokumentu (do końca kwietnia 2010 r.). Byłby on podstawą do negocjacji międzyrządowych i ostatecznego przyjęcia nowej koncepcji strategicznej w czasie następnego szczytu NATO, jesienią 2010 r., w Lizbonie.

Do najbardziej spornych zagadnień w rozmowach o nowej strategii należą: sposób zapewnienia wiarygodności art. 5, jak dalece NATO ma być sojuszem globalnym, jak powinny wyglądać proporcje pomiędzy siłami obrony a siłami ekspedycyjnymi (sprawa budżetu), miejsce broni nuklearnej w strategii Sojuszu w kontekście problemów z utrzymaniem integralności reżimów nieproliferycyjnych, jakiego rodzaju relacje utrzymywać z Rosją z jednej strony, a z drugiej państwami Europy Wschodniej zdradzającymi ambicje przystąpienia do NATO³⁸. Nowy sekretarz generalny jest, wedle Zbigniewa Brzezińskiego, entuzjastą globalnej roli NATO, co potwierdził w swym wystąpieniu na dorocznej monachijskiej konferencji poświęconej sprawom bezpieczeństwa (7 lutego 2010 r.). Nawet stanowisko USA zaprezentowane przez przewodniczącego National Security Council gen. Jamesa Jonesa było w tej sprawie nieporównanie bardziej powściągliwe. Wewnętrzna debatę w Sojuszu ożywiło domaganie się przez Polskę i inne państwa regionu poważnego podejścia do planów ewentualnościowych i innych materialnych gwarancji wiarygodności art. 5 w kontekście wielkich manewrów, jakie Rosjanie przeprowadzili tuż przy granicy z Polską i państwami bałtyckimi. W planie czysto koncepcyjnym toczyła się na bardzo wysokim poziomie debata nad kształtem nowej strategii, czyli *de facto* tożsamością Sojuszu Atlantyckiego w świetle kryzysu 2008 r. i zmian tektonicznych, które ruszyły w jego następstwie³⁹.

UE – SZKLANKA W POŁOWIE PEŁNA

Oczekiwanie na wejście w życie Traktatu Lizbońskiego bardzo podniosło temperaturę debaty o tym, czym będzie lub czym powinna być Unia Europejska, kiedy to się już stanie od 1 grudnia 2009 r.⁴⁰ To się oczywiście nie musiało stać, potrzebne było bowiem „tak” dla traktatu w powtórzonym referendum w Irlandii. Wcześniej egoistyczni i zaściankowi Irlandczycy zmienili zdanie i za drugim razem wyraźną większością poparli Lizbonę. Wcześniej cieszyli się dobrobytem dzięki ogromnym funduszom unijnym i to im wystarczało. Unia była po to, aby dawać, a Irlandia po to, aby brać. Wielu tak myślało i nadal myśli także w Polsce. Kryzys finansowo-

³⁸ D. Hamilton, *Co mamy zrobić z NATO* (rozmowę przeprowadził M. Bosacki), „GW” z 30 marca 2009 r.

³⁹ Z. Brzeziński, *An agenda for NATO. Towards a global security web*, „Foreign Affairs”, wrzesień–październik 2009; K. Wittman, *Towards a new strategic concept for NATO*, Rzym (NATO Defence College) 2009; J. Bielecki, *NATO ma się zająć rosyjskimi mawewrami*, „DGP” z 12 listopada 2009 r.

⁴⁰ *Europę stać na więcej. Nowa agenda dla Unii Europejskiej*. Raport z prac Grupy Refleksyjnej utworzonej przez demosEUROPA oraz „Politykę”, lipiec 2009.

-gospodarczy „utarł nosa” nieodpowiedzialnym Irlandczykom⁴¹. Na pomoc mogła przyjść tylko Unia. Irlandczycy zrozumieli to i poparli wzmocnienie UE, szkoda, że dopiero wtedy, ale lepiej późno niż wcale. Za Irlandczykami poszli prezydent Kaczyński, który z niewiadomych powodów uzależnił swój podpis od ich decyzji (świadczyło to jednak o braku suwerenności w myśleniu o polskich interesach), oraz czeski prezydent Václav Klaus, który do ostatnich dni usiłował tego uniknąć. Większość komentatorów uważała, że nowy traktat będzie czymś w rodzaju czarodziejskiej różdżki, która przeobrazi UE (jak można byłoby przeobrazić ciężkiego, lecz niemrawego Gołotę w szybko i skutecznie trafiającego Adamka). Były to nawet w części oczekiwania uzasadnione. Przecież świadomość pożytków płynących z traktatu przekonała do akceptacji jego przeciwników, którzy zdali sobie sprawę, że w trudnych czasach, jakie nadchodzą, Unia potrzebuje sprawniejszych narzędzi obrony swych interesów w świecie.

Rzeczywiście można było zasadnie sądzić, że traktat stworzy lepsze warunki do przetwarzania energii potencjalnej Unii w energię kinetyczną⁴². Przypomnijmy, że produkt globalny UE wynosił 18,1 bln USD przy 14,3 bln USD USA i 4,4 bln USD Chin; wydatki na obronność: 285 mld USD przy 607 mld USD USA i 85 mld USD Chin; a liczba ludności 500 mln, przy 308 mln w USA i ponad 1,3 mld w Chinach. Kraje Unii wytwarzają ok. 30% światowego produktu. Dochodzi do tego siła strefy euro, która stanowi drugi na świecie obszar walutowy oraz jest największym światowym eksporterem. Ponad 50% wymiany handlowej na świecie poza strefą euro księguje się właśnie w tej walucie, co jest dowodem jej siły i wiarygodności wynikającej ze stabilności makroekonomicznej strefy euro. Wielkości te dają powody do myślenia o Unii w kategoriach globalnego, choć kolektywnego mocarstwa. Wartością dodaną traktatu miało być, po pierwsze, usprawnienie procesu podejmowania decyzji poprzez znaczne rozszerzenie zakresu spraw objętych procedurą większościową (odejście od jednomyślności) oraz wprowadzenie trybu podwójnej większości (w miejsce potrójnej z Nicei). Po drugie zaś, ustanowione zostały dwie ważne instytucje. Chodzi o stałego przewodniczącego Rady Europejskiej oraz ministra spraw zagranicznych, czyli wysokiego przedstawiciela ds. WPZiB łączącego poprzednie stanowisko ds. WPZiB ze stanowiskiem komisarza ds. stosunków zewnętrznych (w randze wiceprzewodniczącego Komisji). Dodatkowo traktat ustanawia Europejską Służbę Działań Zewnętrznych, czyli regularną służbę dyplomatyczną UE. Traktat potwierdził wyprzedzające (kilka lat wcześniej) powołanie Agencji ds. Obrony. Nie bez znaczenia dla legitymizacji procesu integracji europejskiej jest pogłębienie jej demokratycznego charakteru poprzez zarówno wzmocnienie Parlamentu Europejskiego, jak i zwiększenie wpływu obywateli i parlamentów narodowych na działanie UE⁴³. Być może zachęcony traktatowym przyływem mocy **Parlament odrzucił 11 lutego 2010 r. umowę SWIFT o udostępnianiu przez UE**

⁴¹ A. Smolar, *Idą w końcu ciężkie czasy dla unijnych egoistów*, „DGP” z 7 października 2009 r.

⁴² B. Niedziński, *Pod rządami Lizbony Unia może być potęgą*, „DGP” z 1 grudnia 2009 r.; J. Bielecki, *Traktat to zysk dla każdego z nas*, „DGP” z 1 grudnia 2009 r.

⁴³ Zob. szerzej J. Barcz, *Unia Europejska na rozstajach. Traktat z Lizbony. Dynamika i główne kierunki reformy ustrojowej*, Warszawa 2010; J. Buzek, *Unia bardziej demokratyczna*, „GW” z 30 listopada 2009 r.

Ameryce europejskich danych bankowych (umowa ma podobno pomagać w walce z terroryzmem, ale stanowi naruszenie prawa do prywatności). Stało się tak pomimo silnego lobbingu H. Clinton i Joe Bidena. Parlament przyznał swą Nagrodę na rzecz Wolności Myśli im. Andrieja Sacharowa rosyjskim obrońcom praw człowieka – stowarzyszeniu Memoriał⁴⁴.

Jest potencjał i są narzędzia. A jednak... A jednak, kiedy traktat wszedł już w życie, ale także wcześniej w związku z kryzysem gospodarczym i skoncentrowaniem uwagi przez Amerykę Obamy na Azji, przez Europę zaczęła się przelewać fala euro-sceptycyzmu i zwątpienia, a wręcz lamentu nad rzekomą lub faktyczną słabością UE, niezdolnością do podejmowania odważnych decyzji, do stawiania czoła kryzysowi i innym wyzwaniom, do odgrywania silnej roli w świecie globalnej polityki. W myśleniu o Europie, a znajdowało ono wyraz w zachowaniu europejskich sił politycznych czy wizjach kreowanych przez środowiska opiniotwórcze, widoczne były różne, mało optymistyczne scenariusze: „wenecki” (Europa jako muzeum cywilizacji); „większej Szwajcarii” osłoniętej Alpami od zewnętrznej zawieruchy – dostatniego życia i pokoju wewnętrznego; zemsty nacjonalizmów – denacjonalizacji polityk narodowych, które rozsadzają lub sparaliżują projekt europejski⁴⁵. Nawet jeśli twórca tych scenariuszy, znany ze skłonności do przesady prof. Dominique Moïsi, nie dość adekwatnie oddał europejski stan ducha, to wzrost malkontenctwa i braku wiary był bezdyskusyjny. Trzeba bardzo wyraźnie powiedzieć, że w ogromnym stopniu stanowiło to funkcję zawyżonych oczekiwań wobec UE w kontekście nowego traktatu i nieumiejętności dostrzeżenia wielkiej, faktycznej roli odgrywanej na scenie międzynarodowej. Szczególnie raziły swą nietrafnością porównania UE do zachowań USA i Chin. Jeśli bowiem państwa członkowskie nie życzą sobie UE jako państwa (czytaj: federacji), to nie można oczekiwać od Unii, że będzie działać i prowadzić politykę zagraniczną jak jednolite mocarstwo. **Szczególnie nie na miejscu było permanentne nawiązywanie do pytania Kissingera o numer do Europy.** Zapominano, że Kissinger dlatego tak mówił, iż był przedstawicielem twardej odmiany szkoły realistycznej – nie cenił instytucji wielostronnych w rodzaju ONZ, KBWE czy EWG. Partnerami dla niego mogły być tylko mocarstwa – Chiny czy Związek Sowiecki. **Jeśli dzisiaj ktoś nie zna „numeru do Europy” – jego zmartwienie.** UE dysponuje potencjałem, o którym była już mowa, posiada największą liczbę przedstawicieli w G-20 i G-7/8, dwóch stałych członków na pięciu w RB NZ, prowadzi kilkanaście misji militarno-policyjnych w różnych regionach świata (uczestniczy w nich ok. 100 tys. sił pokojowych, bojowych i żandarmarii), jest największym na świecie darczyńcą humanitarnym, a euro stało się pierwszą walutą międzynarodowych transakcji handlowych. Trzeba mieć dużo niedobrej woli lub być ignorantem, aby w tej sytuacji twierdzić, że „Unia się nie liczy”, że liczą się tylko USA i Chiny oraz ich rzekome G-2. Tego rodzaju głosy brzmią szczególnie niepoważnie w świetle problemów, jakie z podjęciem każdej poważniejszej decyzji lub przeprowadzeniem reformy ma prezydent Obama, o czym była mowa powyżej. Deficyt wizji dotyczących Unii po Lizbonie, wielkich projektów, które utrzy-

⁴⁴ T. Bielecki, *Nagroda dla sumienia Rosji*, „GW” z 23 października 2009 r.

⁴⁵ Cyt. za: A. Szostkiewicz, *Tak, ale nie*, „Polityka” z 30 maja 2009 r.

mują proces integracji w odpowiedniej dynamice („WE jako rower – jeśli przestaje się kręcić, rower się przewraca” – W. Hallstein), czy niektóre problemy wewnętrzne mogły uzasadniać pewne rozczarowanie, ale jego rozmiary były pozbawione proporcji⁴⁶. Problemem była raczej stagnacja emocjonalna i koncepcyjna, brak entuzjazmu wobec procesu integracji, który stał się dany i oczywisty, niż rzeczywiste usterki lub niedostatki tej konstrukcji⁴⁷. Ale też, **jak twierdzi prof. Zdzisław Najder, UE to nie tylko żonglowanie wizjami, lecz także zagospodarowywanie zdobytego terytorium**. Jeśli z takim trudem ratyfikowano Traktat Lizboński, to trzeba dać zdolnym administratorom szansę na wcielenie jego postanowień w życie, szansę na skonsurowanie możliwości, jaką stanowi. Samo wejście w reżim instytucjonalny traktatu zajmie trochę czasu i sporo energii, utrzymanie spójności i różnorodności wspólnoty w nowych warunkach wewnętrznych i międzynarodowych jest wyzwaniem nie lada, nie trzeba więc szukać natychmiast nowych⁴⁸.

Unijne wybory w 2009 r. nie stały się źródłem optymizmu w odniesieniu do sprawności wewnętrznej i skuteczności międzynarodowej UE. Wprawdzie czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego potwierdziły stabilność polityczną w Europie (partie skrajne uzyskały nikłe poparcie), ale już obsadzanie utworzonych przez Traktat Lizboński wysokich stanowisk spotkało się z powszechną krytyką. Przewodniczącym Rady Europejskiej został mało znany na scenie europejskiej polityk belgijski Herman Van Rompuy, uchodzący za bezbarwnego, ascetycznego, ale zręcznego koncyliatora. I ten wybór nawet jakoś starano się zrozumieć, ponieważ chodzi o stanowisko, które nie wiąże się z podejmowaniem decyzji. Baronessa Catherine Ashton, która ma odpowiadać za politykę zagraniczną UE, była nie tylko osobą nieznaną, ale i jej wybór uważa się za przypadkowy i raczej negatywny, to znaczy taki, aby uniknąć mianowania kogoś ze znanych i wyrazistych polityków, faworytów „unijnej giełdy” chociażby Carla Bildta. Wiele wskazywało na to, że wyboru dokonano według specyficznych kryteriów – potrzebna była kobieta i z Wielkiej Brytanii, aby zachęcić Londyn do pozytywnego stosunku do Unii. O ile Van Rompuy stosunkowo szybko zaczął przekonywać do siebie sceptyków kreatywnością i energią (m.in. zwołał na 12 lutego 2010 r. pierwszy i udany szczyt Rady Europejskiej w celu ratowania Grecji od bankructwa, a przy tym wiarygodności euro), o tyle nie nadmiernie błyskotliwa czy kompetentna lady Ashton potwierdzała, że jej wybór jest nieporozumieniem. Obsada obu stanowisk skłaniała do opinii, że UE rezygnuje z ambicji odgrywania znaczącej roli na scenie międzynarodowej, a w dodatku stało się to za sprawą Paryża i Berlina, które nie chciały, aby polityk „wagi ciężkiej” wysuwał się na pierwszy plan przed unijne mocarstwa. Nieco więcej optymizmu wzbudzał skład Komisji. Wybranemu na drugą kadencję przewodniczącemu Barroso daje się więcej szans na odgrywanie samodzielnej roli na rzecz eu-

⁴⁶ J.M. Barroso, *Europa wcale nie gaśnie*, „DGP” z 5 stycznia 2010 r.

⁴⁷ A. Smolar, *Zmęczona Europa bardzo łatwo wyrzekła się silnego przywództwa*, „DGP” z 26 listopada 2009 r.; J. Saryusz-Wolski, *Unia ma chorobę wieku dziecięcego* (wywiad przeprowadził J. Mielnik), „Polska. The Times” z 7–8 listopada 2009 r.

⁴⁸ Z. Najder, *Koniec unijnych wizjonerów. Niech żyją administratorzy*, „DGP” z 30 listopada 2009 r.

ropejskiej solidarności i w rozwiązywaniu głównych problemów, przed którymi stoi UE. Powinna temu sprzyjać mocna obsada kluczowych tek w Komisji⁴⁹.

Ogólnie jednak przypisywano UE wejście w „stan zaniżonych aspiracji” (prof. A. Smolar), co na pozór tak istotnie może wyglądać, ale nie oznacza bynajmniej, aby Unia i jej państwa członkowskie jako całość miały słabiej bronić swoich interesów w stosunkach międzynarodowych niż np. Rosja czy Indie. Unia odgrywa wbrew sceptykom ważną, wpływową rolę w świecie, choć nie czyni tego spektakularnie. Ta rola, dzięki Lizbonie i nadal rosnącemu potencjałowi UE, może stać się jeszcze większa pod warunkiem roztropnego wybierania dziedzin działania, sytuacji, w których chce ona zaistnieć, oraz celów, które chce osiągać. Można sporządzić całą listę miejsc i sytuacji, w których Unia nie powinna się „sprawdzać”, bo jak w Afganistanie odegra jedynie rolę „kwiatka do kożucha”. Entuzjasta tak zwanej interwencji humanitarnej, francuski minister spraw zagranicznych Bernard Kouchner bardzo ją do tego namawia, ale nie należy tym wezwaniom ulegać⁵⁰. **Unikanie dyplomatyczno-militarnego ADHD powinno być przestrogą nie tylko dla UE.** Nie ulega wątpliwości, że na scenie międzynarodowej UE odgrywa rolę i powinna kontynuować aktywność na **czterech wielkich płaszczyznach**: bezpieczeństwo, gospodarka światowa (w tym handel i finanse), powiązane ze sobą kwestie energetyczne i klimatyczne oraz promocja demokracji i praw człowieka, w tym pomoc humanitarna. Oczywiście, dla możliwości skutecznej aktywności Unii w świecie zdolności przywódcze jej czołowych przedstawicieli nie są bez znaczenia. Tymczasem pod tym względem Europa przeżywa okres deficytu przywódców łączących charyzmę z mądrością i wyczuciem europejskiego interesu. Pewne nadzieje budzi kanclerz Niemiec Angela Merkel, która jest jednak raczej dobrym gospodarzem swego kraju niż europejskim mężem stanu. Jej atut stanowi dobra pozycja w USA. Prezydent Sarkozy miewa dobre pomysły, ale jest nadto żywiołowy i niekonsekwentny. Londyn i Rzym wybrały pozostawanie na uboczu unijnej polityki. Do przywódczego kręgu zgłasza sporadycznie aspiracje Polska, ale jej potencjał oraz blokowanie się między rządem a prezydentem uniemożliwia Warszawie bardziej trwały wpływ na kurs UE. Zdolność Warszawy do budowania koalicji wszystkich nowych państw członkowskich z regionu (np. w sprawie klimatu) jest kusząca z punktu widzenia jej własnej pozycji, ale systematycznie wykorzystywana może utrwałać niedobry podział na dwie Europy w łonie UE⁵¹. Duet Merkel–Sarkozy mógłby być może stanowić europejskie przywództwo, pomimo – jak się zdaje – braku chemii pomiędzy nimi, ale reprezentują oni, i ich kraje, odmienne spojrzenia na to, jak Europa ma wychodzić z kryzysu. Oba kraje powróciły pod tym względem do swych wcześniejszych polityk: Francja Sarkozy’ego do skłonności etatystyczno-protekcjonistycznych, a Niemcy Angeli Merkel do tradycji przestrzegania twardych reguł gospodarki

⁴⁹ A. Missiroli, *Wojna w Unii wisi na włosku* (rozmowę przeprowadził R. Woś), „DGP” z 21 stycznia 2010 r.

⁵⁰ S. Erlanger, *Kouchner urges stronger Afghan role for Europe*, „IHT” z 2009 r.

⁵¹ P. Świeboda, *Polska z tarczą, Europa na tarczy*, „GW” z 9 czerwca 2009 r.; J. Bielecki, *Warszawa na czele nowej Unii*, „DGP” z 6–8 listopada 2009 r.

rynkowej (zrównoważony budżet, niska inflacja itp.)⁵². Oba też, podobnie jak większość państw członkowskich, opowiadają się za zaostrzeniem regulacji dotyczących sektora bankowego, aby uniknąć w przyszłości podobnych załamań jak w 2008 r., przed czym oczywiście zaciekle broni się europejska finansjera⁵³. I wreszcie Paryż i Berlin oskarżane są o próby narzucania Unii swego stanowiska, to jednak one uratowały Grecję i wiarygodność euro na nadzwyczajnym szczycie 11 lutego br.

Cokolwiek by się powiedziało na temat relacji potencjał–rzeczywista rola na scenie międzynarodowej, w przypadku UE nieodparcie nasuwa się konstatacja, że „**postamerykańska Europa**” (według określenia użytego przez autorów jednego z raportów Europejskiej Rady ds. Stosunków Zagranicznych)⁵⁴, która długo skarżyła się na amerykańską kuratelę, nie kwapi się do bardziej wyrazistego kreowania swej tożsamości jako asertywnego gracza w globalnych relacjach. Jest trochę jak dziecko, które oderwało się od poręczy i swoje pierwsze kroki stawia niepewnie, z obawą, oglądając się, czy rodzice widzą, a w razie zachwiania szybko siada na ziemi. Być może inaczej się nie da, ale przestrzeń pozostawiona Europie przez pograżoną w kryzysie Amerykę i zwróconego ku Azji Baracka Obamę nie jest przez nią wykorzystywana. W stosunkach z Rosją Unia pozostaje podzielona i niezbyt stanowcza, nawet jeśli Rosja jest zbyt słaba, aby to wykorzystać. Partnerstwo Wschodnie rozwija się bardzo powoli i nie zapowiada się jako instrument silnego oddziaływania na kraje nim objęte. Dobrze, że dzięki niemu UE przeznaczy na Europę Wschodnią więcej pieniędzy, ale nadal nie są to sumy imponujące. Unia nie traktuje Europy Wschodniej jak wielkiego wyzwania, tylko jak urzędniczo-dyplomatyczną konieczność. Na Bałkanach Unia toleruje pogarszanie się sytuacji w Bośni i Hercegowinie oraz nie wiadomo w imię czego subsydiuje amerykański protektorat, którym stało się Kosowo⁵⁵. Podobnie błędne jest zaangażowanie Unii w Afganistanie. Europa wystarczająco wiele środków i ludzi poświęciła w ramach operacji NATO ISAF i nie ma powodu, aby to czyniła również w ramach UE, skoro nie ma najmniejszego wpływu na kształt i rezultaty prowadzonej przez Amerykanów wojny w tym kraju. Na niekorzyść Unii zapisuje się także brak wewnętrznego poparcia i perspektyw kolejnego rozszerzenia. Zarzut ten nie ma uzasadnienia, to nie nastroje wewnątrz Unii bowiem o tym decydują, ale gotowość potencjalnych kandydatów do przystąpienia⁵⁶. W normalnym trybie do Unii dostaną się zapewne państwa bałkańskie. Perspektywa członkostwa Turcji jest zupełnie odrębnym zagadnieniem i w 2009 r. nie nastąpił w tym zakresie postęp. Problem Turcji wiąże się w krajach UE niewątpliwie z pewnym lękiem przed ewentualną ekspansją islamu jako religii i sposobu życia, który pozostaje w sprzeczności z tradycją europejską nie tylko w wymiarze

⁵² J. Bielecki, *Sarkozy został lewicowcem*, „Dziennik” z 23 czerwca 2009 r.; B. Wieliński, *Niemcy mają nowy rząd*, „GW” z 26 października 2009 r.; idem, *Wielka mowa Merkel*, „GW” z 4 listopada 2009 r. (chodziło o mowę kanclerz Niemiec w Kongresie USA).

⁵³ J. Bielecki, *Niechciany supernadzorca*, „Dziennik” z 10–11 czerwca 2009 r.

⁵⁴ J. Shapiro, N. Witney, *Towards a Post-American Europe: A Power Audit of EU–US Relations*, EFCR, Londyn 2009 r.

⁵⁵ M. Potocki, *Bandyckie państwo pod opieką Unii*, „Dziennik” z 25 czerwca 2009 r.

⁵⁶ J. Pawlicki, *Unia nie chce być już większa*, „GW” z 6 maja 2009 r.

religijnym, lecz także społeczno-obyczajowym i kulturowym. Dało to o sobie znać w uznanym przez wielu za kontrowersyjne referendum w Szwajcarii na temat budowy w tym kraju minaretów przez społeczność islamską, która tam wykazuje sporą vitalność⁵⁷.

Aczkolwiek w ostatnim okresie pewnemu wyhamowaniu uległa dynamika rozwoju Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP), co wiązało się z traktatowym patem, a następnie odbudową jedności w Sojuszu Atlantyckim po odejściu administracji Busha (i powrocie Francji do struktury militarnej NATO), można oczekiwać jej rewitalizacji, także pod wpływem impulsu Traktatu Lizbońskiego. Jak trafnie wskazywała na ostatniej monachijskiej konferencji ws. bezpieczeństwa baronessa Ashton, UE jest obecna poprzez swe misje od Haiti, przez Bliski Wschód i Afganistan, po Bałkany i Gruzję, gdzie okazuje się głównym aktorem zewnętrznym stabilizującym tam sytuację bezpieczeństwa. Bardzo udana okazała się operacja ATALANTA u wybrzeży Somalii (zwalczanie piractwa i szkolenie oddziałów tego kraju). Od chwili powołania dziesięć lat temu obecnie już Wspólna (zamiast Europejskiej) Polityka Bezpieczeństwa i Obrony przeprowadziła 23 operacje pokojowe i stabilizacyjne z udziałem wojska i policji. Dzięki rozwojowi w tej dziedzinie UE stała się całościowym systemem bezpieczeństwa, skutecznym nie tylko wewnątrz, co jest oczywiste od lat 50. poprzedniego stulecia, lecz także wywierającym przemożny, pozytywny wpływ na stan bezpieczeństwa w jej bezpośrednim otoczeniu. Wiele wskazuje na to, że to właśnie UE będzie przejmować od NATO rolę pierwszych skrzypiec w zapewnianiu „codziennego” bezpieczeństwa, podczas gdy Sojusz zostanie zachowany jako ostateczna instancja⁵⁸.

Tym bardziej musiał zdziwić **list otwarty wystosowany do prezydenta Obamy** przez dwudziestu dwóch byłych prezydentów, ministrów, ambasadorów, w tym także kilku znanych komentatorów z Europy Środkowej i Południowej (wszyscy z państw członkowskich UE i NATO). Autorzy tego dziwnego listu skarżyli się prezydentowi USA, że nie docenia ich lęków o bezpieczeństwo w kontekście polityki Moskwy, nie rozumieli też jego zastanawiania się nad dalszym kształtem systemu antyrakietowego. Sygnatariusze listu nawiązywali wyraźnie do „starych dobrych czasów” polityki administracji G.W. Busha wobec tego regionu. Stwierdzali przy tym, że „Środkowa i Wschodnia Europa znajduje się na politycznym rozdrożu”. Dziwiło, że byli prezydenci czy ministrowie nie okazali się na tyle odważni, aby protestować wobec G.W. Busha, który swą nieodpowiedzialną, a popieraną przez nich polityką doprowadził do pogorszenia sytuacji bezpieczeństwa. Zdradzali przy tym kompleks zawiedzionej miłości i niedojrzałości do samodzielności w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa, znakomicie przecież ubezpieczanej członkostwem w UE i NATO⁵⁹.

⁵⁷ A. Lubowski, *Europa przechodzi na islam*, „GW” z 2–3 stycznia 2009 r.; R. Kuźniar, *Bezpieczeństwo kulturowe*, „Polska Zbrojna” z 20 grudnia 2009 r.

⁵⁸ R. Kuźniar, *Why NATO will play second fiddle to the ESDP*, www.europesworld.org, 29 czerwca 2009 r.

⁵⁹ List powstał z inicjatywy R. Asmusa (szefa biura GMF w Brukseli) i jego środkowoeuropejskich kolegów, a został podpisany m.in. przez A. Kwaśniewskiego, L. Wałęsę, V. Adamkusa, E. Constantinescu, K. Schwarzenberga, V. Havla, M. Kováča, I. Krasteva i V. Vike-Freiberge. Niemal wszyscy autorzy listu z entuzjazmem poparli wojnę przeciwko Irakowi i inne posunięcia Busha, które budziły niepokój społecz-

Zwracał na to uwagę Zbigniew Brzeziński: „Bliskie stosunki z Ameryką są więc i pozostaną niezwykle ważne z perspektywy Europy Środkowej, ale nie mniej istotne jest, aby zrozumieć, że z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych partnerem w tych relacjach może być tylko Europa jako całość. Przedstawiciele państw Europy Środkowej nie powinni przyjeżdżać do Waszyngtonu, aby dawać upust swoim lękom, zwłaszcza gdyby miało to pośrednio sugerować, że państwa Europy Zachodniej z jakichś powodów nie zasługują na zaufanie. (...) **Musi to być Europa, która posługuje się jednolitym głosem świadczącym o istnieniu jakiejś wspólnej strategicznej wizji**”. Mówi to Europejczykom Amerykanin polskiego pochodzenia⁶⁰.

EUROPA WSCHODNIA MIĘDZY NOSTALGIĄ A INERCJĄ

Państwa Europy Wschodniej zastęły w pewnej fazie przeobrażeń wewnętrznych i zmian w ich polityce zagranicznej i nie potrafią przekroczyć niewidzialnej bariery oddzielającej je od Europy i Zachodu. Ani klasa polityczna tych państw, ani społeczeństwa nie mogą się zdecydować na zrobienie kroku w kierunku zachodnim. Preferują osobność. Samo w sobie nie musiałyby to być niczym złym, jednak w danym przypadku oddala te państwa od nowoczesnej, otwartej drogi rozwoju i skazuje je na dłuższą metę na trwanie w polityczno-gospodarczym skansenie. Najbardziej klarowna jest sytuacja na Białorusi, gdzie rządzący i ludność starają się zachować maksimum zwyczajów właściwych czasom sowieckim. Na Ukrainie utrzymuje się bardziej złożona sytuacja, ponieważ część społeczeństwa opowiada się za zbliżeniem z Zachodem. Nie jest to jednak część wystarczająco duża, aby wpłynąć realnie na politykę wewnętrzną i zagraniczną kraju. W Rosji dylemat przynależności jest bardziej czytelny, ponieważ w odróżnieniu od Białorusi i Ukrainy polityka Moskwy chce być ambitna. Rosja chce odgrywać ważną rolę, ale jednocześnie posługuje się archaicznymi instrumentami i nie potrafi się zdecydować na reformy, które otworzyłyby drogę modernizacji kraju, bez czego i ona pozostanie na uboczu światowego rozwoju.

Dylemat Rosji został trafnie uchwycony przez Zbigniewa Brzezińskiego, który w jej obecnej myśli i praktyce politycznej wyodrębnił dwie konkurencyjne szkoły myślenia. Pierwszą nazwał nostalgiczną, która wywodzi się z głoszonego przez Putina przekonania, że upadek Związku Sowieckiego był największą katastrofą geopolityczną XX wieku. Polityka określana przez tę szkołę stara się na różne, najczęściej atawistyczne sposoby przywrócić anachronicznie rozumianą wielkość Rosji. Jej wyrazem jest nieustająca presja na sąsiadów, aby utrzymać ich we własnej strefie wpływów w roli państw wasalnych, na których obszarze Rosja mogłaby swobodnie realizować swe interesy gospodarcze i dla których jedynym ważnym punk-

ności międzynarodowej. List nie wzbudził rezonansu w regionie; większość urzędujących polityków zignorowała jego treść, z czego wynikało, że autorzy odzwierciedlali własne uczucia i oceny, a nie nastroje polityczne Europy Środkowej. Tekst listu w: „GW” z 19 lipca 2009 r.; zob. także R.D. Asmus, *Shattered confidence in Europe*, „The Washington Post” z 24 września 2009 r.; A.E. Kramer, *Eastern Europe fears new era of Russian dominance*, „IHT” z 12 października 2009 r.

⁶⁰ Z. Brzeziński, *Rosja nostalgii, Rosja nadziei*, „GW” z 12–13 grudnia 2009 r.

tem odniesienia w ich polityce zagranicznej jest Moskwa (nie Zachód, NATO czy UE). Druga szkoła, czy może raczej wizja, wywodzi swe podejście z oceny sytuacji gospodarczo-cywilizacyjnej Rosji. Powagę tej sytuacji uwydatnił groźnie kryzys 2008–2009, który dotknął Rosję głębiej niż państwa zachodnie, a tym bardziej azjatyckie. Dekada wzrostu cen ropy pozwalała Moskwie na snucie snów o potędze i prężeniu mięśni oraz na prostackie domaganie się udziału przy stole dla największych potęg globalnych. **Putin przypominał w tym trochę Chruszczowa z mównicy Zgromadzenia Ogólnego NZ**, uderzającego butem o pulpit i domagającego się posłuchu. Do załamania 2008 r. wszystko zdawało się iść po myśli Moskwy. Kryzys zatrzęsł potęgą Rosji – kolosa na glinianych nogach. Nie są one do końca gliniane, ponieważ zasoby surowców energetycznych pozostaną przez dekady silnym atutem Rosji, a potencjał militarny, zwłaszcza nuklearny, będzie ją utrzymywał w gronie potęg. Jednak pod względem gospodarczym, społecznym, kulturowym czy technologicznym Rosja przestała być dla kogokolwiek atrakcyjna, a w sensie demograficznym wręcz się szybko zwija. Jeszcze czas jakiś stać ją będzie na prężenie mięśni i brutalizowanie swego otoczenia, lecz drogą do przetrwania jest naprawa państwa. Ma tego świadomość prezydent Dmitrij Miedwiediew, który w kolejnych publicznych wystąpieniach wskazuje na schorzenia Rosji i konieczność podjęcia dzieła reform. W końcu września 2009 r. zdecydował się nawet na ogłoszenie dramatycznego, jak na głowę państwa, artykułu, w którym dokonał boleśnie szczerzej analizy sytuacji kraju. Wśród plag społecznych krępujących energię społeczną, hamujących ruch naprzód, wyliczył: odwieczne opóźnienie gospodarcze, nawyk istnienia dzięki eksportowi surowców i wymianie ich na gotowe wyroby; odwieczną korupcję, szeroko rozpowszechnione w społeczeństwie nastroje paternalistyczne. Całość tej surowej oceny kondycji Rosji dokonana przez Miedwiediewa skłoniła Brzezińskiego do wyrażenia poglądu, że gdyby to on sam „opublikował równie ostrą ocenę realiów współczesnej Rosji, używając przy tym słów, jakimi posłużył się rosyjski prezydent, byłoby to w Rosji zapewne przyjęte jako dowód potwierdzający tradycyjną już o mnie opinię, że jestem nieuleczalnym rusofobem”. I dodał, że **„Artykuł Miedwiediewa obrócił w pył tezę, jakoby Rosja była wielkim mocarstwem”**. Pomimo tego, zdaniem Brzezińskiego, nie wiadomo, do której z wymienionych wcześniej szkół należy sam prezydent Miedwiediew⁶¹, który, jak się zdaje, nie sprawuje realnej władzy w Rosji, w przeciwieństwie do prezydenta Putina, obecnie taką władzę sprawującego jako premier.

W praktyce polityki zagranicznej dominowała oczywiście ta pierwsza szkoła. Marcin Kaczmarski pisze, że od przełomu 2006–2007 **rosyjska polityka zagraniczna weszła w fazę rewizjonizmu**. Jest on skierowany wobec Zachodu i jego cechą wyróżniającą stanowi próba radykalnej przebudowy relacji z Zachodem, takich, jakie ukształtowały się po zimnej wojnie. Rewizjonizm wobec Zachodu był częścią nowego podejścia Moskwy do świata i dążenia do budowy wielobiegunowego porządku międzynarodowego, w odpowiedzi na akcentowanie przez Waszyngton idei hegemonicznej jednobiegunowości. Rosyjski rewizjonizm otrzymał w poprzedniej

⁶¹ Ibidem; D. Miedwiediew, *Rosjo, naprzód!*, „GW” z 26–27 września 2009 r.

dekadzie dobre podstawy w postaci napływu gigantycznych ilości petrodolarów, zniknięcia deficytu budżetowego, szansy utrzymywania zdrowych parametrów polityki makroekonomicznej, co sprzyjało szybkiemu napływowi inwestycji zagranicznych oraz powstawaniu wielkich rezerw dewizowych. Dzięki temu Rosja mogła przeznaczyć znaczne sumy na modernizację potencjału militarnego⁶². Przejawami rewizjonizmu były próby wasalizacji państw WNP, tworzenia niepewności wokół intencji Rosji wobec Europy Środkowej, asertywne poczynania Gazpromu jako przedłużenia ministerstwa spraw zagranicznych Rosji, narastanie sprzeciwu wobec rozszerzania NATO i budowy tarczy antyrakietowej i wreszcie, jako akt kulminacyjny, spacyfikowanie Gruzji, zamierzone w Moskwie jako „danie po łapach” Ameryce, która całkiem swobodnie zaczęła harcować na obszarze WNP⁶³. Wprawdzie nierozszerzenie NATO to efekt braku kandydatów (retoryka Moskwy miała tu drugorzędne znaczenie), a wycofanie się Waszyngtonu z MD – rezultat powrotu do racjonalności w polityce bezpieczeństwa USA, ale kremlowscy propagandyści starali się to przedstawiać jako sukcesy skutecznej polityki Rosji, budząc tym samym lęk niektórych, co bardziej bojaźliwych i myślących podobnie stereotypowo jak Rosjanie polityków w Europie Środkowej.

Rosyjskie prężenie mięśni dokonywało się w ostatnich miesiącach w stosunkach z NATO i USA. Zmiana administracji oraz idea „resetu” w relacjach z Moskwą zaproponowana przez Obamę pozwalały wierzyć rosyjskim przywódcom, że mogą pozwolić sobie na wiele, nawet jeśli ich sytuacja do tego nie upoważnia. Silną stroną taktyki rosyjskiej był blef i lepsza niż u Amerykanów umiejętność posługiwania się *chicken game*, choć wymyślili ją z nudów następcy kowbojów na Midweście. Stanowisko rosyjskie było proste: jeśli chcecie mieć dobre stosunki z nami, a jesteśmy wam przecież potrzebni, zwłaszcza w wojnie afgańskiej czy w walce z proliferacją, to reset nie wystarczy. Chcemy więcej. Chcemy, jak wyraził to z właściwą sowieckiej mentalności szczerością amb. Rogozin, aby NATO się nie rozszerzało i aby Zachód „nie mieszał się” w sprawy państw WNP. Chcemy też, aby bezpieczeństwo europejskie oprzeć nie na kombinacji różnych instytucji, lecz na propozycji Miedwediewa z 2008 r., sugerującego przyjęcie nowego traktatu w tej sprawie, który będzie odpowiadał interesom bezpieczeństwa Rosji⁶⁴. **Rosjanie są lepsi w dyplomatycznej taktyce**, w której czasem liczy się blef i psychologia, **lecz okazują się znacznie gorszymi strategami**, ponieważ nie potrafią się powściągnąć, gdy widzą okazję, i przegrywają, gdyż licytują zbyt wysoko. Rosyjskie iluzje zasilane są niekiedy wypowiedziami zachodnich polityków czy obserwatorów odpowiadającymi postulatami Moskwy⁶⁵. Wygrana wojna z Gruzją, wielkie manewry na granicy z Polską i krajami bałtyckimi „Zapad 2009” we wrześniu i coraz bardziej asertyw-

⁶² T. Shanker, *Russia striving to modernize military, U.S. notes with interest, not alarm*, „IHT” z 20 października 2009 r.

⁶³ M. Kaczmarek, *Rosyjski rewizjonizm wobec Zachodu*, „Prace OSW”, Warszawa, grudzień 2009.

⁶⁴ D. Rogozin, *Your call, NATO*, „IHT” z 6 maja 2009 r.; S. Erlanger, *NATO struggles with conflicting views on Russia*, „IHT” z 9 kwietnia 2009 r.; E. Wayne Merry, *A 'reset' is not enough*, „IHT” z 22 maja 2009 r.

⁶⁵ Ch. Kupchan, *Rosja ma prawo do strefy wpływów* (rozmowę przeprowadził M. Bosacki), „GW” z 21–22 lutego 2009 r.

na retoryka obudziły jednak czujność na Zachodzie i już w czasie spotkań NATO od końca 2009 r. widoczna była większa zwartość wobec rosyjskich pretensji, a pomysł Miedwiediewa odesłano do OBWE, czyli dyplomatycznej trumny (tzw. Proces z Korfu). Już od jesieni 2009 r. było widać większą stanowczość w podejściu USA do Rosji⁶⁶. W swym wystąpieniu w Monachium 6 lutego 2010 r. przewodniczący NSC James Jones wyłożył zasady polityki bezpieczeństwa w Europie, które nie pozostawiały złudzeń, jeśli chodzi o zdolność Rosji do podzielenia NATO i ustępstw na przykład w sprawie rozszerzenia Sojuszu⁶⁷. Moskwa ze swej strony nadal nie potrafiła przekroczyć Rubikonu i porzucić schizofrenicznej postawy wobec NATO. Z jednej strony jest świadoma, że pod względem militarnym nie ma najmniejszych szans mierzyć się z NATO⁶⁸ i kusi ją bliższa współpraca z Sojuszem, ale z drugiej strony chciałaby, aby stało to się na rosyjskich warunkach, i **ogłasza NATO w najnowszej doktrynie obronnej podpisanej przez prezydenta FR 5 lutego 2010 r. „największym militarnym niebezpieczeństwem” dla Rosji**. Jak zapisano w doktrynie, uzasadnia to rozwój zdolności wojskowych Sojuszu służących jego globalnym ambicjom oraz przybliżanie się infrastruktury obronnej na terytorium państw NATO do granic Rosji i podtrzymywanie przez Sojusz polityki „otwartych drzwi”, także dla państw Europy Wschodniej. Tego rodzaju zapisy świadczą z jednej strony o tym, że Rosjanie rozumieją, iż nie mogą istotnie wpłynąć na strategię NATO, a z drugiej, że nadal postrzegają Sojusz w kategoriach zimnowojennych. Podobnie w przypadku rezygnacji przez prezydenta Obamę z systemu antyrakietowego: Moskwa najpierw odtrąbiła sukces, aby jakiś czas później wykazywać nerwowość wobec nowej wersji tego systemu (przeciwko zagrożeniu ze strony rakiet średniego i krótkiego zasięgu) oraz niezadowolenie z powodu instalacji w Polsce baterii rakiet Patriot o znikomym, a właściwie pozornym znaczeniu obronnym⁶⁹.

Sytuacja w pozostałych krajach regionu zastygła na rosyjski sposób, pozbawiony jedynie wymiaru mocarstwowego. Rok 2009 na Ukrainie stał pod znakiem manewrów przedwyborczych. Ustalonym na styczeń–luty 2010 r. wyborom prezydenckim podporządkowana została polityka wewnętrzna i zagraniczna głównych ośrodków politycznych w tym kraju. Tylko odpornością ukraińskiego społeczeństwa na trudności ekonomiczne można wytłumaczyć brak zaburzeń społecznych w reakcji na głęboki kryzys gospodarczy i finansowy, znacznie głębszy niż w jakimkolwiek innym kraju Europy. Skala kryzysu była pochodną braku reform i przejrzystości, wysokiego stopnia korupcji i oligarchizacji w ukraińskim życiu gospodarczym i pu-

⁶⁶ M. Landler, *In Moscow, Clinton urges Russia to open its political system*, „IHT” z 14 października 2009 r.

⁶⁷ Jones mówił m.in. o suwerenności i integralności terytorialnej państw Europy, centralnej roli NATO i art. 5, znaczeniu dialogu z Rosją i Ukrainą w ramach istniejących organów, wadze przestrzegania CFE, pragnieniu redukcji broni nuklearnej, znaczeniu, jakie USA i Zachód przypisują prawom człowieka, demokracji, prawu narodów do decydowania o swych sprawach, jako podstawach bezpieczeństwa na kontynencie.

⁶⁸ I. Korotczenko, *Rosja nie pokona wojsk NATO* (rozmowę przeprowadził M. Potocki), „DGP” z 30 września 2009 r. (płk Korotczenko jest redaktorem naczelnym magazynu „Nacyonalnaja Oborona”). I. Korotczenko wskazał na słabości zdolności militarnych Rosji, które zostały ujawnione w toku manewrów „Zapad 2009”.

⁶⁹ Gen. W. Dworkin, *Po co wam patrioty, skoro Rosja nie napadnie na NATO?* (rozmowę przeprowadził W. Radziwinowicz), „GW” z 26–27 września 2009 r.

blicznym, a nawet kryminalizacji gospodarczo-finansowego establishmentu w tym kraju. Populistyczna i żądna władzy premier Tymoszenko nie podjęła najmniejszych kroków, które mogłyby osłabić jej szanse wyborcze. Prezydent Juszczenko zajął się polityką historyczną. Główni aktorzy „pomarańczowej rewolucji” walczyli przy tym ze sobą na śmierć i życie, posuwając się do oskarżeń o zdradę stanu i działania na rzecz obcych (rosyjskich) interesów. „Pomarańczowa” wojna na górze oraz nieudolność rządów tego duetu doprowadziła do całkowitego zaniku wiarygodności haseł z tamtego okresu. Państwa i instytucje zachodnie przyglądały się temu bezradnie, a zapewne niektórym było to nawet na rękę, ponieważ to **Kijów dostarczał mocnych argumentów, aby nie angażować się na rzecz Ukrainy**, aby odsunąć *ad calendas Graecas* sprawę otwierania się jej na członkostwo w UE czy NATO. Sprawa NATO stała się o tyle mało aktualna, że większość społeczeństwa ukraińskiego była temu przeciwna, a zwycięzca wyborów Wiktor Janukowycz (przegranym w wyborach 2004 r.) nie zamierzał podtrzymywać tego celu nawet w formalnej postaci. **Zwycięstwo Janukowycza** w drugiej turze wyborów, 7 lutego 2010 r., z pewnością spowolni zbliżanie się Ukrainy ku Zachodowi. Priorytetem dla mówiącego po rosyjsku nowego prezydenta Ukrainy będą stosunki z Rosją, co zresztą potwierdził tuż po swym zwycięstwie. Nie oznacza to bynajmniej, że będzie on powolny wobec Moskwy i pozwoli na wasalizację Ukrainy. Z pewnością ułatwi Rosji robienie korzystnych interesów gospodarczych, na czym Moskwie i rosyjskim oligarchom zależy najbardziej⁷⁰, ale Ukrainie nie grozi utrata niepodległości czy naruszenie integralności terytorialnej. Dziedzictwo Związku Sowieckiego okazało się silniejsze od dziedzictwa europejskiego w tym kraju. Przypomnijmy jednak, że do Polski, a potem do imperium habsburskiego, należała mniejsza część Ukrainy. Demograficznie i gospodarczo jej punkt ciężkości znajduje się na wschodzie, gdzie mieszka także kilkanaście milionów Ukraińców pochodzenia rosyjskiego. Ukraiński Piemont (Galicja Wschodnia) okazał się zbyt słaby, aby utrzymać cały kraj na europejskim kursie. Zauważa się natomiast zachowanie demokratycznych standardów jako trwałej zdobyczy „pomarańczowej rewolucji”. Istotnie, wybory prezydenckie na Ukrainie odbyły się według standardów, o jakich Rosjanie nie mogą nawet marzyć, choć nie wiadomo, czy ich pragną. Należy jednak pamiętać, że uczciwość i przejrzystość procedur to jedno, a rzeczywistość, czyli demokracja oligarchiczna na Ukrainie, to drugie. Same procedury nie zapewnią demokratycznej reprezentacji interesów narodu ukraińskiego, nie sprawią, że klasa polityczna w tym kraju zacznie przedkładać interesy narodowo-państwowe nad interesy oligarchów⁷¹.

Sytuacja w pozostałych krajach Europy Wschodniej interesujących z polityczno-strategicznego punktu widzenia wyglądała podobnie. **Białoruś pozostawała w stanie politycznej stagnacji**, starannie kontrolowanej przez prezydenta o breżniewowskiej mentalności. Aleksander Łukaszenka niczym archetyp *homo sovieticus* miał do czynienia z ludnością składającą się w sporej większości z jemu po-

⁷⁰ W. Portnikow, *Moskwa: Zysku chcemy!* (rozmowę przeprowadził M. Wojciechowski), „GW” z 24–25 października 2009 r.

⁷¹ M. Wojciechowski, *Dlaczego Sikorski i Steinmeier musieli zwiedzić Kijów*, „GW” z 18 czerwca 2009 r.; Z. Parafianowicz, M. Potocki, *Pięć lat ukraińskiej wojny na górze*, „DGP” z 13 stycznia 2010 r.

dobnych. Dlatego, pomimo śladowych prób opozycji wobec jego reżimu, nie zapowiada jakiegś bardziej zasadniczej zmiany w tym kraju. Unijna taktyka „zmiękczenia” rządzących poprzez różnego rodzaju oferty rozszerzenia współpracy nie mogła przynieść rezultatów, ponieważ sygnały z Mińska zapowiadające gotowość do pewnego zbliżenia z UE stanowiły także jedynie element taktyki. Ponadto związek Mińska z Moskwą pozostawał niewzruszalny. **Gruzja leczyła rany po wojnie z Rosją.** Prezydent Saakaszwili zaprzestał swych politycznych ekstrawagancji w polityce wewnętrznej i zagranicznej i skupił się na odbudowie kraju, zwłaszcza na przywróceniu jedności po wstrząsie, jakim była rosyjska inwazja na część terytorium Gruzji. Problemem było pogodzenie się z definitywną utratą dwóch prowincji, Osetii Południowej i Abchazji, o których trzeba pamiętać, że ani przez moment nie znalazły się pod efektywną władzą Tbilisi po rozpadzie ZSRR. Gruzja mogła liczyć na niemałą pomoc materialną UE i Stanów Zjednoczonych, ale musiała się pogodzić z brakiem poparcia politycznego dla jej ambicji, nawet jeśli formalnie Zachód był przeciwny uznaniu „niepodległości” obu prowincji, czyli formalno-prawnemu naruszeniu integralności terytorialnej tego kraju. Drastycznie zmalały szanse Gruzji na przywrócenie perspektywy członkostwa w NATO. Czekają ją kilka lat ciężkiej spokojnej pracy i pogodzenia się z nowym *status quo*, zanim temat zbliżenia (a dopiero potem członkostwa) z NATO czy UE stanie się aktualny. USA, UE, NATO odgrywały istotną osłonową rolę wobec Gruzji, ale nie mogły odwrócić *status quo* ustalonego po wywołanej przez Tbilisi wojnie⁷². Potwierdził to jednoznacznie specjalny raport UE na ten temat, ogłoszony 30 września 2009 r. Wojna, którą rozpoczęła Gruzja, głosił raport, nie była uzasadniona ani z pozycji prawa międzynarodowego, ani w świetle rozwoju sytuacji w terenie. To nieuzasadniony ostrzał Cchinwali (stolicy Osetii Południowej) w nocy z 7 na 8 sierpnia 2008 r. był początkiem wojny. Późniejsze działania Rosji należy także potraktować jako złamanie prawa międzynarodowego i przekroczenie rozsądnych granic obrony; dotyczyło to również niszczących działań wojsk rosyjskich już po zawarciu zawieszenia broni. W wyniku działań wojskowych zginęło ok. 850 osób⁷³. Szanse Gruzji, podobnie jak i pozostałych państw Europy Wschodniej (państw kaukaskich, Mołdowy, Białorusi i Ukrainy), leżały w aktywnym podejściu do nowej formuły stosunków z UE, którą zainicjowano dzięki wspólnej propozycji Polski i Szwecji, czyli Partnerstwa Wschodniego. Inauguracja partnerstwa nastąpiła na szczycie Unii w Pradze, 7 maja 2009 r. Jak twierdził znany ekspert Fundacji Bertelsmanna Cornelius Ochmann, „**Nowa polityka wschodnia Brukseli została skierowana do krajów znajdujących się między UE a Rosją, czyli między młotem a kowadłem. Teraz po raz pierwszy w historii Unia ma całościową strategię polityczną obejmującą wschód Europy, omijającą przy tym całkowicie Rosję.** Strategia ta wykracza daleko poza dotychczasowe

⁷² R. Woś, *Unia nie chce pogryźć Saakaszwilego*, „Dziennik” z 6 lipca 2009 r.; Z. Parafianowicz, *Zastępca Obamy rozwił nadzieje Saakaszwilego*, „Dziennik” z 24 lipca 2009 r.; H. Barry, *Biden hears Georgia's plea for western protection*, „IHT” z 22 lipca 2009 r.

⁷³ Przebywający w Warszawie na konferencji poświęconej dziesiątej rocznicy przystąpienia Polski do NATO 11–12 marca 2009 r. gruziński wicepremier T. Jakobaszwili oświadczył w panelu na Uniwersytecie Warszawskim, że oddziały gruzińskie zabiły w pierwszych godzinach walk ok. 1500 żołnierzy rosyjskich, co oznaczało, jak powiedział, że „Rosjan nie ma się co bać”.

programy współpracy kulturalnej i ekonomicznej (...) Najbardziej paradoksalne jest jednak to, że do powstania Partnerstwa Wschodniego przyczyniła się Rosja. Przez swą politykę, w tym wojnę w Gruzji, uświadomiła Unii, że potrzebny jest szeroki program współpracy z krajami Europy Wschodniej i Środkowej, które chcą się uniezależnić od Rosji⁷⁴. Skuteczność Partnerstwa Wschodniego będzie zależeć tyleż od energii samej UE we wcielaniu programu, ile od ochoty objętych nim państw regionu. Pierwsze miesiące nie wyglądały zachęcająco (brak rozluźnienia reżimu wizowego ze strony UE po wejściu w życie umowy z Schengen, inercja w Kijowie czy Kiszyniowie)⁷⁵, ale może to ulec zmianie wraz z nabieraniem przez program impetu i dostrzeżeniem przez zainteresowanych konkretnych korzyści zeń wynikających.

⁷⁴ Wypowiedź w „Rzeczpospolitej” z 8 maja 2009 r.; A. Łojewska, *Unia bliżej Wschodu*, „Rz” z 8 maja 2009 r.; A. Cieszkowski, *Żmudne wciąganie do UE* (rozmowę przeprowadził M. Wojciechowski), „GW” z 26 stycznia 2010 r. Andrzej Cieszkowski jest pełnomocnikiem szefa MSZ ds. Partnerstwa Wschodniego.

⁷⁵ M. Wojciechowski, *Twierdza Schengen dla postsowieckiej Europy*, „GW” z 11 maja 2009 r.; C. Ochmann, *Geopolityka a Europa Wschodnia*, „Nowa Europa Wschodnia”, wrzesień–październik 2009.